



Anna Kokot-Nowak

Olgi Tokarczuk pług pióra przez strony białe

Kim jest pisarka, która twierdzi, iż ma wiele tożsamości, które razem ze sobą tworzą piętrowy tort? Uważa się za Europejkę, Polkę, kobietę, matkę, pisarkę, Dolnoślązyczkę. Ale czy uważa się już za noblistkę? Jej twórczość jest formą istnienia wrażliwego, a jej remedium na lęk egzystencjalny jest peregrynacja. Jak napisała w książce „Opowiadania bizarne”: „Im bliżej środka, tym bardziej wszystko wydaje się prawdziwe i namacalne, im dalej zaś, tym mocniej świat jakby się rozłaził, jak zetlałe płótno w wilgoci”. Jak zatem opowiedzieć słowem bezkres świata? Czy to w ogóle możliwe? Najwyraźniej, skoro podejmuje się tego w swojej twórczości. Dla Olgi Tokarczuk rzeczywistość XXI wieku to czas bezustannego negocjowania granic. Również granic własnego „ja”, które coraz intensywniej wyklują się z niektórych osób, zachłannie domaga się uwagi, ego-

istyczne i rozpieszczone. Próbuje niejako anektować świat, władać nim z tronu swego majestatu. Jest jednak i bezwzględny demon czasu, który złośliwie przypomina człowiekowi o tym, że jego życie mgnieniem oka jest tylko, krótkim przejściem, wręcz intermezzo – jak twierdził filozof francuski Gilles Deleuze. Czy chcemy tego, czy też nie – porusza człowieka i beznamiętnie mieli mityczny młyn świata, jak twierdzi pisarka – Młyn Prawieku. Egzystujemy fragmentarycznie na poboczach, obrzeżach, skrawkach, marginesach, trwając jednocześnie w nieustannej migracji do centrum. Ludzie dążą do maksymalnego przyspieszenia – rozwoju społeczeństwa, gospodarki, czasem nawet kultury, a jednocześnie chcą czuć wolność, brak nacisku na swoje działania.

Gdy sięgamy po książki Olgi Tokarczuk to, cytując pisarkę, meldujemy się w tej jedynej konfiguracji czasu i miejsca. Ale potem z każdą przeczytaną stroną peregrynujemy, przemierzamy się, mamy możliwość – za sprawą literatury, uchwycić ruch, swoistą pograniczność, rozpadowanie się i tworzenie kolejnych, nowych konfiguracji. Pisarka tka opowieści z mitów i wyobraźni, bardzo ważne są u niej w tekstach literackie imponderabilia. Misternie nawleka słowa na linijki kolejnych wersów, ustawia je jakby za pomocą linijki, bada odległości między wyrazami, kąty padania cienia liter, stopnie ich odchylenia – w prawo lub w lewo. Jest bezwzględnym cyzelatorem każdego słowa. Waży je na szali poznania i decyduje: będziesz czy nie będziesz? Warto cię zapisać – czy też domagać się dopełnień? Autorka kolonizuje przestrzeń wokół siebie za pomocą wyobraźni, metafizyki, zwracając uwagę na swoistą duchowość natury. Jej utwory zakorzenione są intelektualnie w wielu lokalnych, miejscowych zwyczajach, prastarych tradycjach. Czytelnikowi tym samym jawi się przed oczyma swoiste świadectwo ewolucji kultury, inspirujące do wielu głębszych przemyśleń. Poszerzają się horyzonty myślowe, otwiera się przed nim kopała pełna nowych doświadczeń, znaczeń, możliwości. Nie każdy jest przygotowany na taką feerię odczuć, nie każdy jest na tyle asertywny, by pozwolić im trwać, pojawiać się, błyskać przed jego oczyma, iskrzyć i migotać, a potem stopniowo blaknąć i gasnąć. Nie każdy potrafi wykroczyć poza gorset słów, zajrzeć nieco wstydliwie pod spódnicę metafizyki. Nie każdy rozumie, że nie z każdym wyrazem pisarstwa Tokarczuk trzeba nawiązać intelektualny kontakt.

Noblistka kreuje w swoich książkach swoiste miejsca, będące axis mundi (osią świata, osią kosmiczną) – czyli stabilnym elementem Wszechświata. Zgodnie z ową teorią – na osi tej następuje zatrzymanie czasu, co skutkuje pełnym kontaktem nie tylko z przeszłością, ale także z przyszłością. To miejsce najświętsze ze świętych,

pozwalające dotrzeć do samej istoty prawdy o człowieku. Oto Tokarczuk próbuje zrekonstruować świat w wielu odmianach. Wkracza odważnie w rewiry narodowej, ludowej świętości, nie bacząc na wszelkie kulturowe tabu. Pozwala dojść do głosu pomijanym i słabym: wyśmiewanym, pominiętym, wiedźmom – matkom, wiekowym kobietom o niezwykłej sile, przeciętnym dziewczynom, które posiadają nadzwyczajne moce. Przeczuwa, iż empatia, uważność, wrażliwość, intuicja – cechy łączone z mocą kobiecości, są azylem człowieczeństwa. Dowodzi, że prawdziwa mądrość pochodzi wprost z natury i ona w dalszej kolejności dopiero rodzi kulturę. Człowiek tym samym jawi się w starciu z naturą jako istota odwiecznie dualistyczna – jest egzemplarzem ułomnym, wybrakowanym, a jednocześnie nadzwyczaj szlachetnym. Natura nie jest jednak rzeczywistością zewnętrzną, ale wnika w człowieka, trwa w nim, koegzystuje z nim w niełatwej symbiozie. Sprawia mu ból i skłania do zachwytów.

Materia języka Olgi Tokarczuk jest dynamiczna, energia tekstów – interaktywna, czytelnik angażuje uwagę w ciąg następujących po sobie wydarzeń, choć często brakuje im logiki chronologii, sensu przyczynowo-skutkowości. Pisarka nie daje czytelnikowi gotowych wzorców do zachwytu – wielokrotnie publicznie podkreśla, iż bardziej niż piękno pociąga ją niedoskonałość i brzydota. Okaleczone słowa są piękne, z odrażających i wstrętnych działań ludzkich autorka wyjmuje od czasu do czasu perłę piękna i dobra. I to, co kalekie, chrome – bywa dla pisarki emanacją czystego piękna. Nie stroni od turpizmu, bo trudno inaczej nazwać eksperymenty z plastynacją (zamiana ciała ludzkiego w rodzaj modeli anatomicznych), czy wnikliwych opisów na przykład płodów w formalinie („Bieguni”).

Osnowę jej pisarstwa stanowi wspomniany już motyw podróży, przemieszczania się – i to nie tylko wędrówki fizycznej, ale także tej w głąb siebie. I może ta druga jest ważniejsza, owo wędrowanie na wielu płaszczyznach i wymiarach? Podróż może odbywać się samolotem, w czasie i przestrzeni, po wielu zakątkach naszego globu, nawet po wnętrzu ludzkiego ciała, mikroorganizmach, neuronach i synapsach mózgu, emocjach i dewocjach, jest synonimem poznawania. Podróż jest ucieczką – z czasu, miejsca, od czegoś i ku czemuś. Ważny jest ruch, przesuwanie się na osi czasu, wyjście z marazmu i stagnacji, oniryczna podróż do źródła oraz wejście na samo dno ludzkiego biedowania i upodlenia. Czytamy: „Ruszaj się, ruszaj. Błogosławiony, który idzie”. Kto się zatrzyma – ten zacznie się rozkładać, rozpadać. Liczy się droga, a jej cel nie jest najważniejszy. Zresztą ów cel – miejsce, jako aspekt przestrzeni, zdaniem pisarki jest pauzą w czasie, „chwilowym zatrzymaniem się naszej percepcji na konfiguracji obiektów. Jest ono, w odróżnieniu od czasu, pojęciem statycznym”. Bliskie jest jej zdanie z Blake’a, iż w stojącej wodzie spodziewać się można tylko trucizny. Zatem wodę trzeba wzburzyć nogami, ruszyć naprzód, w tył lub w poprzek, bo to jest antidotum na toksynę. I tacy są właśnie „Bieguni”, książka o filozofii ruchu - tu narracja jest poszatkowana, pokawałkowana, nieliniowa, co w zamierzeniu autorki stanowić ma odzwierciedlenie szumu komunikacyjnego, w którym żyje współczesny człowiek. Przedstawione tam historie to kolaż wielu gatunków literackich - esejów, opowiadań, są też

anegdoty. Wątki wymieszane są jak nitki splecionych z sobą kłębków różnokolorowej wełny. Spaja je co najwyżej motyw podróżującej pisarki. Początkowo czytelnikowi może się wydawać, że nic się ze sobą nie łączy; czuje się tak, jakby przed jego oczyma pojawiło się nagle panoptikum wszelkich dziwactw świata: plastynaci, wunderkamery, zniknięcia, gen ruchu. I jeszcze ten wwiercający się w nozdrza zapach formaldehydu. Cudaczności tworzą kolejne spirale znaczeń, które rezonują, ale stopniowo łączą się w jakiś niecodzienny sposób ze sobą, budując twór, nad którym należy się uważnie pochylić, obadać go czułkami swej inteligencji i uważności, wyciągnąć wnioski, usystematyzować odczucia. Mozaika musi być obmacana ciekawskimi dłońmi, ugryziona gdy trzeba, polizana dla odczuć smakowych. Niektórzy krytycy są zdania, że przy czytaniu tekstów Olgi Tokarczuk powinno się korzystać z techniki frotażu, znanej z rysunku. Wydaje się bowiem, że gdzieś pod spodem jej słów, wyrazów, zdań – znajduje się jaśniejszy, bardziej zrozumiały tekst, tylko pisarka wymaga od nas mazania ołówkiem po gęsto zapisanych kartkach, by się do niego dostać.

Noblistka wyraża pełne niepokoju zatroskanie o stan ludzkiej kondycji, człowieczego tu i teraz. Pyta o duchowość, wykazuje konieczność szacunku do natury, nawołuje do uważności, ścieżką swoich tekstów prowadzi nas na spotkanie z Innym, swoje zdania momentami wyściela podszewką empatii i swoistej intuicji. Żongluje odważnie stwierdzeniami i prawdami, ale tkwi w niej i niepewność: „Czy dobrze robię, że opowiadam? Czy nie lepiej byłoby spać umysł spinaczem, ściągając lejce i wyrażać się nie historiami, ale prostotą wykładu, gdzie w zdaniu po zdaniu klaruje się jedna myśl, a w następnych paragrafach fastryguje się ją z innymi. „Mogłabym używać cytatów i przypisów (...) i w końcu mogłabym wywiesić argumenty, jak przeciwierała po nocy poślubnej, na ludzki widok” – czytamy w „Biegunach”. Ostatecznie autorka - jak wiemy, decyduje się na trudniejsze rozwiązanie i pozostaje przy swoim sposobie pisania. Cały wysiłek poznawania, odkrywania jej treści spoczywa na czytelniku. Daje mu do zrozumienia, że jej książki nie są jak tartinki – do połknięcia od razu, bez gryzienia.

Olga Tokarczuk twierdzi, że książka otwiera przed czytelnikiem obszar neutralny, jest swoistym zaproszeniem do spotkania. Jednocześnie jest zdania, iż literatura nie jest zwykłą próbą nawiązania porozumienia pomiędzy czytelnikiem a autorem – „(...) zresztą, gdyby to było możliwe, gdyby możliwa była komunikacja wprost – nie powstałaby żadna literatura. To pragnienie komunikacji doskonałej, przeniknięcia osobnych światów odnajduje dla siebie poziom wyższy, w którym zaczyna się tajemniczy proces wymiany. Na to spotkanie autor i czytelnik przynoszą wątki swojej pojedynczości, niepowtarzalności. Autorowi nie da się spreprować dzieła pozbawionego *strzępków* jego *ja*. Odbiorca także angażuje w proces lektury własne indywidualne doświadczenia”. Pisarka wie, że mimo to czytelnik może zdystansować się wobec tekstowego świata, gdyż nad nim panuje. „Uruchoimiona wyobraźnia czyta powieść w swoim rytmie, podąża za obrazami. Jest aktywna, ale daje się prowadzić. W powieści napotyka postaci, które traktuje niczym role napisane specjalnie po to, żeby móc się z nimi identyfikować. Pojawia się wtedy możliwość przeżycia oczyszczającego lęku, wszystkich bezpiecznych (bo wirtualnych) odre-

agowań”. Czytelnik doświadcza zdarzeń, na które nie byłoby miejsca w jego zwykłym życiu. „Zabijanie i zmartwychwstanie. Bycie zwierzęciem i rzeczą. Rozmowy z bogami. Wielokrotne umieranie. Różne odmiany miłości i opętania. Uwięzienie we wszystkich możliwych zamknięciach i wychodzenie poza każde ograniczenie. Ignorowanie czasu. Oderwanie od ziemi i eksploracja kosmosu. Książka udowadnia także, że cała rzeczywistość mieści się w ludzkiej psychice”. Właśnie owa możliwość wymiany obrazów pomiędzy autorem a czytelnikiem stwarza – zdaniem autorki, nowy rodzaj rzeczywistości. Artystka snuje też przypuszczenie, iż może postaci z książek istnieją jakoś *bardziej*, intensywniej, gdyż dane im jest życie wielokrotne z chwilą kolejnej lektury. Za każdym razem, gdy ktoś znowu otwiera książkę, budzi je niejako do życia, kolejnego istnienia. „Postać zasuszona dotąd między kartkami papieru rozkwita pod okiem czytelnika, odgrywa przed nim swój dramat i właściwie nie wraca już na karty powieści, lecz zamieszkuje w jego pamięci”.

Oto noblistka wysuwa więc tezę, że powieść jest procesem psychicznym, który nie należy do nikogo, „procesem granicznym, miejscem, gdzie czytelnik i autor uzgadniają wspólnie świat. Jest hotelem, gospodą, w której gości się od czasu do czasu. Jest głębszym językiem komunikacji, ponieważ dotyka spraw, które z trudem dają się nazywać słowami. Powieść zawsze dotyczy przemiany. Dzięki temu, jako jedna z niewielu form artystycznych, ma możliwość zrelacjonowania rozwoju lub regresji, tego *wstępowania* i *zstępowania* psychiki człowieka. Inne formy mogą jedynie dawać świadectwo istnienia stanów”. Autorka twierdzi, że tak ludzka przecież zdolność czytania i uczestniczenia w czytanej słowie, jest zawsze doświadczeniem spójności psychicznej. Uważa także, że jedną z definicji rozbicia psychiki, psychozy, powinna być niezdolność do czytania.

(Dokończenie w następnym numerze „Protokołu”)



Zbigniew Kresowaty

wciąż czekam na Nirwanę

Marsjasz gra nam na aulosie
rozbity dzban księżycą wychyla
się bledszym odcieniem na nas
zdajesz mi się – a widzę patrzę
w Niby sen – dopala się testosteronem
stos ptactwa we mnie rozśpiewany
– w dali tli się katedra jak skrzydło
nad dachem dym unosi ją
Wciąż snujesz mi ścieg myśli
życiem pachniesz bukietem
– cienisz południe nicią złotą
nie uchodzisz bledszą z powieki

– Jeszcze wyglądam za tobą
przez ramę okna jeszcze widzę
jak z otwartą dłonią obrócona
kiwasz „jak się masz” – dziwnie
wciąż tyle nocy biegnę za tobą
- jak za tylną szybą starego auta
- uchodzisz po-wieką z obrazu
jedynie sadza na niej zostaje

Teresa Tomsia

Ostatnie spojrzenie

fraza dla Kornela Morawieckiego

Ta chwila, gdy przysiadła na ławie w rogu
biesiadnego stołu i bierze pióro do ręki,
by podpisać monografię Solidarnej

Wspólnoty,
pozostaje na zawsze w pamięci tamtego dnia.

Dopiero połowa września, a już chłodny wiatr
zмага się z chmurami, targa połą jego
marynarki.
Śmiejemy się, rozgadani, świętujący 35-lecie,
śpiewamy z kapelą piosenki powstańcze.

Ta chwila, gdy pochylony nad książką
zamyśla się nad tym, co zostało zapisane,
a co należy przywołać: miłość, wdzięczność,
poczucie miary – już wie, że ona patrzy
z dala
ciemnymi oczami, czeka, przelicza godziny,
krąży w przejściu z widokiem na ściernisko.

Ta chwila, gdy wstaje, obejmuje spojrzeniem
Ludwikę w płaszczu koloru jesieni, dzieci
przyjaciół
biegnące ku bryczce, konie prowadzone
ze stajni,
Joannę częstującą gości – i podnosi rękę
na pożegnanie.

Łagodnym uśmiechem błogosławi nas
wszystkich.

Filozof w kamieniołomach

(fragment)

Marmurowe ciosy piętrzyły się równymi rzędami ponad kolorową posadzką. Olbrzymie prostopadłościennie nieskazitelnie gładkie, jakby je cyklop jakiś szlifował, a potem dźwigał na niebotyczną wysokość i układał precyzyjnie, otaczały mozaikę barwnych kamyków, strumienie i kaskady światłocieni, subtelną grę połyskliwych odcieni ugru, umbr, żółcieni a także błękitu, karminu i szmaragdowej zieleni, tworzące jeden płaski obraz, który przedstawiał psy ścigające jelenia. Las, polana, potok i niebo, pejzaż bukoliczny, tworzyły mgliste tło tej dynamicznej sceny. Dzieło było rozległe, około dwudziestu kroków w obie strony, obramowane czarnym meandrem, który jak łowiecka nagonka nie pozwalała umknąć zwierzętom poza wyznaczone przez artystę ramy. Sylwetka osaczonego jelenia nie wskazywała na niebezpieczeństwo. Artystyczna konwencja uwieczniła bieg jako wygięte w łuk ciała i cztery nogi rozprostowane w dwie przeciwne strony świata. Galop to był lub cwał, pęd niewstrzymany, gonitwa lub umykanie. Dopiero łeb o cechach twarzy człowieka zaszczutego, wyciągnięte i otwarte w stronę życia chrapy, mówił, że to ucieczka przed śmiercią, ostatni skok po tej stronie granicy. Poza czarny meander wybiec już nie można; przemknąć może tamtędy tylko dusza.

Oczy wyrażały nie tyle strach (może nań było już za późno), ile próbę pogodzenia się z losem, ten moment egzystencjalnego epilogu, kiedy należy stwierdzić, że tak będzie lepiej, eksponujący zatem racjonalizację własnego odejścia. I ta ostatnia refleksja w spojrzeniu jelenia wydawała się bardziej ludzka niż zwierzęca.

Tuż za jeleniem pędziły trzy psy w równie umownej formie biegu. Ich pyski, rozdziawione w stronę ofiary szczęki tak się wyciągnęły, iż tworzyły równą linię ze zjezonymi grzbietami. Jedna myśl błyszczała w psich ślepiach: pożreć jelenia, wspólna myśl stada. Mimo szaleńczego tempa tej sceny owe ślepia, zwrócone ku górze czarne monety z ognistą pręgą, tępo wlepione były w zad ściganego. Gdyby artysta przedstawił na mozaice tylko oczy prześladowców i oczy ofiary, każdy rozpoznałby przydzielone im role.

Zaraz za ową granicą, za wijącym się jak wąż obramowaniem, wznosił się wysoko posąg Artemidy. Bogini w krótkim, przewiazanym w tali chitonie pochylała się nad leśnym dramatem. Z wyżyn boskości, ze świata przestrzeni spoglądała na płaski świat ludzkich knozań, sprzeniewierzeń, podstępów i braku czci. Dziewczęca sylwetka Artemidy kontrastowała z drapieżnym pościgiem i ze śmiertelną ucieczką, choć może za sprawą tejże bogini gonitwa owa rozgorzała. Śmierć Akteona – bo on to w roli jelenia zaszczutego przez własne psy znalazł się na mozaice – podwójnie została zatem dostrzeżona, może nawet doceniona: przez samą boginię i przez ludzi. To wiele, jak na krótki ludzki agon. Nie każdy ma tyle szczęścia.

- Prometeusz przemycił z Olimpu szereg umiejętności i obdarował nimi ludzi – rozległo się głośne stwierdzenie, a po chwili pytanie: – A co nam dał Akteon, Arystokrytosie?

- Dionizjosie, władco przemądry, z miriadów kamyków ułożona została ta scena, żeby nie tylko oko twoje i dworzan twoich oraz gości cieszyć subtelnością malarską obrazu, ale też wyrazić myśl głębszą: nie należy występować przeciw ustalonej hierarchii; pochodzi ona bowiem od bogów. Akteon zamieniony został w jelenia i pożarty przez własne psy, ponieważ wejrzeć chciał do świata władców Olimpu, złamał zatem boską zasadę, ludziom zesłany zakon, przekroczył czy to przypadkiem, czy z ciekawości próg ludzkiego poznania. Mit ten uczy szacunku dla władzy, pokory wobec niezmiennego urzędnika tego świata. Są władcy i są poddani. I każdy z nas ma w tym świecie ustalone miejsce

- Czy myślisz, że to ja jestem Akteonem, który naruszył ową hierarchię i stał się tyranem?

- Panie, po ziemskiej drabinie zaszczytów wspiąłeś się najwyżej z ludzi. Twoje imię jest na ustach wszystkich mieszkańców Hellady, Kartaginy, a nawet dalekiej Persji, nie mówiąc już o plemionach pomniejszych: o wojowniczych Sikelach, Sikanach, Elymach, Messapiach czy Japygach...

- Czy jestem Akteonem? – przerwał Dionizjos.

- Nie, panie. Jako władca Syrakuz, Akraj, Leontinoj, Akragas, Geli, Megary, Naksos stałeś się najpotężniejszy w świecie. Mądrością i przenikliwością umysłu przewyższasz wszystkich innych władców. Pomiedzy tobą, panie, a bogami nie ma już nikogo, pomiedzy tobą a ludźmi rozciąga się przepaść. Dzięki swej mądrości pośredniczysz między mieszkańcami Olimpu i mieszkańcami ziemi.

Ich głosy odbijały się od ścian wykutych w syrakuzkańskich Latomiach i rozbiegały się po wielkiej Sali, zaglądając w każdy załom pałacowych murów. Nie mogli słyszeć tej rozmowy bogowie, bo ponad Dionizjosem i jego sekretarzem rozciągała się cędrowa połać dachu z bierwion grubych jak świątynne kolumny.

- To samo mówi się o Pitagorasie – skrzywił się Dionizjos.

- Pitagorasa od ponad stu lat nie ma już na ziemi – rzekł Arystokrytos. – Przebrzmiała jego nauka, została tylko naiwna legenda, którą lud chętnie podejmuje, bo mowa w niej o cudach.

- Ale o innych sprawach, w tym o wiedzy tajemnej, milczą. Nie chcą uronić ani słowa.

- Wybacz, panie, ale nie wierzę w ich wiedzę. Milczą, bo niczego takiego nie wiedzą, czego nie wiedziałaby jakikolwiek wykształcony Syrakuzanin.

Tyran jedynie ze swego despotycznego podestu zbudowanego pośrodku olbrzymiej komnaty mógł dojrzeć wszystkie szczegóły mozaikowej sceny, a zarazem z góry patrzeć na swego sekretarza. Tylko ów podest wynosił go ponad wyższych odeń dworzan. Wynosił też na właściwą wysokość jego paliową strzechę włosów i złoty wieniec laurowy, apollinijskie atrybuty, które przydawać miały jego obliczu boskiej powagi. Na należnym mu wyniesieniu byłby Dionizjos podziwiany z właściwej perspektywy, która władcę-boga ku Olimpowi by przybliżała, a człowieka – ku ziemi. Tymczasem niższy od Arystokrytosa stał na kamiennej posadzce swego pałacu i patrzył ku podwyższeniu, na którym lśnił złotem jego tron. Przygarbił się nieco jakby pod brzemieniem królewskich trosk i powiedział:

- Są jednak wierni swoim przekonaniom. Ciekawe, jak mocno gotowi byłiby trwać na straży swoich tajemnic.

Powiało chłodem słów, aż Arystokrytos się wzdrzygnął.

- Miałeś, panie, okazję sprawdzić ich wytrzymałość – przypomniał sekretarz. – Pamiętasz owe-

go pitagorejczyka Fintiasa i jego przyjaciela Damona, jak drżeli o własne życie.

- Nie pamiętam, żeby aż tak drżeli. Wydawali się całkiem opanowani. Być może nie zostali poddani wystarczającej próbie. Była to tylko próba przyjaźni, która niczego nie przyniosła poza rozrywką dla nas. Mieściła się w ramach prostego żartu.

Zaległa cisza. Sekretarz ważył słowa władcy. Czytał między wierszami, bo tak czynią dworzanie na całym świecie, jeśli chcą w potoku życia płynąć głównym nurtem.

Przed dwoma laty Dionizjos oskarżył pitagorejczyka Fintiasa o spisek. Dla żartu, dla własnej despotycznej uciechy. Wszelka intryga i knucie przeciwko tyranowi prowadziły nieuchronnie do kary głównej. Władca w swej szczodrobliwości pozwolił Fintiasowi przez jeden dzień pozalać swoje sprawy domowe. Jako gwaranta swojej uczciwości sprowadził pitagorejczyk do pałacu przyjaciela Damona, który jako zakładnik czekać miał cierpliwie na jego powrót. Dworzanie kpili z naiwności zakładnika. „Fintias już nie wróci” – mówili doń z przekonaniem. Kręcili głowami, ironicznie się uśmiechając. Patrzyli, kiedy zakładnik na twarzy mienić się zaczął ze strachu przed śmiercią. Damon z olimpijskim spokojem znosił zaczepki. Fintias powrócił o zachodzie słońca. Wówczas Dionizjos ucałował ich obu ze wzruszeniem i rzekł, iż takiej przyjaźni jeszcze nie widział.

Wydaje się jednak, że nie tylko żart przyświecał temu pomysłowi władcy Syrakuz. Na koniec bowiem, po szczęśliwym owych dramatycznych splotów rozwiązaniu, Dionizjos poprosił obu pitagorejczyków o przyjęcie do ich bractwa. Psychologicznie bowiem wykalkulował sobie, iż osłabieni przeżyciami całego dnia, nadwyrężeni przez ciągłą nić losu Kloto łatwo ugną się przed tą propozycją, nie zdoławszy obudzić w sobie tyle sił, żeby odmówić władcy, który jak Hades potrafił w jednej chwili strącić ich do Tartaru albo zamknąć w strasznych Łatomiach. Zawierzył swojej duszy i pomylił się w swoich ciemnych obliczeniach. Pitagorejczycy nie chcieli go w swym gronie i głośno wyrazili swoją wolę. Dionizjos puścił ich wolno. Z żalem takie ustępstwo czynił, bo nie miał w zwyczaju tak łatwo rezygnować ze swoich zachcianek.

Myśl o zgłębieniu pitagorejskich tajemnic, o przeniknięciu hermetycznej wspólnoty, o czerpaniu z krynicy nieznannej mądrości nie opuściła go od tamtego wydarzenia. Dlaczego jednak teraz o tym wspominał, co miał na myśli, mówiąc o niewystarczającej próbie, tego Dionizjosowy sekretarz nie wiedział. Domyślał się tylko, że nic dobrego zainteresowanie tą odległą sprawą nie wróży, wyrzucił więc sobie napomknienie o pitagorejczykach.

Zmierzali powoli w stronę kamiennego piedestału, na którym błyszczał tron najpotężniejszego z władców helleńskich. Przecięli scenkę z umykającym jeleniem-Akteonem. Dionizjos uderzał o posadzkę swoimi skórzanymi chodakami, które upodobał sobie podczas tych zimowych dni. A z każdym krokiem rozlegał się dźwięczny pogłos jakby mlaskanie jednoczesne trzech pysków Cerbera. Wysokie obcasy niczym aktorskie koturny wydłużyły nieco wzrost władcy. Krotochwilnie wyglądały jego kroki. Niosły jednak w owych psich dźwiękach jakieś szaleństwo i obłąd, które towarzyszą zamknięciu w ciasnym lochu umysłu.

Zabrzmiało kilka nic nieznaczących poleceń na temat drzwi i wzorzystego dywanu sprowadzonego z Tyru, poleceń, które szumiały w uszach Arysto-

krytosa jak ciepła kąpiel, jak chwila bez troski pośród morza Nr 71-72/2019-20 bezwzględnej czujności.

- Czy sądzisz – zapytał Dionizjos – że Platon do nas przybędzie. Listy ślemy, a tu żadnej konkretnej odpowiedzi.

- To człowiek łasy na pochwały i zadufany w swojej mądrości; rzadko jednak dostrzega coś poza swoją filozofią. A życie nie jest z nią tożsame.

- Nie o to cię pytałem, Arystokrytosie.

Znów sekretarza przeszył chłód; niewłaściwie odczytał ukryty za zdaniem Dionizjosa palimpsest; nie oczekiwanie na krytykę filozofa kryło się w pytaniu władcy. Szybko jednak biegła myśl Arystokrytosa, korygując własne błędy.

- Tak, panie – przyznał się do pomyłki. – Platon nie będzie chciał przyjechać z kilku powodów. Po pierwsze jest już stary. Myśl jego utraciła dawną lekkość, a ciało sprawność. Po drugie wie, że twoje postępy, panie, w dziedzinie filozofii znacznie przewyższyły jego osiągnięcia, co zaświadczały Arystyp, Poliksenos, Kratistolos a nawet Helikon, ludzie bardziej ode mnie obeznani z tą gałęzią wiedzy. Nie chce więc konfrontacji na polu nauki. Po trzecie Platon wie, że nie przez wszystkich jest lubiany...

Zygmunt Dekiert

Twoja obecność

matce - śp. Zofii

W zakamarkach myśli
bielą Twych włosów nasyconych
spojrzenia kromką wiersza przywołane
Słowa w okowach życiowych mądrości
magią północy strącone w przepaść
pamiętania
Ciepło dłoni na policzku błogosławieństwem
przebudzenia

W zaciśniętej dłoni - serca kołatanie

Krystyna Mikołajewska

* * *

Na styku nocy
z dniem szarość
jawa rozrachunek
czyni
ze snem
Syriusz senną uludą
zwodzi
Jutrzenka radością
kusi
z nowego dnia
spotkania

Krystyna Wojciech-Ratajczak

U brzegu morza

U brzegu morza
stoi kobieta
wpatruje się w dal po horyzont
fale chłodzą jej zmęczone stopy
ma na sobie znoszoną sukienkę
łzy zamazują ostrość widzenia
wiatr porywa je
prosto w rozwiane włosy

Na piasku stoi dom
bogaty w brązy i ciszę,
a daleko morze
w purpurze i granatach

W wietrze słysząc skrzypce
to one, tak jak ona
płaczą, łkają, tęsknią

Na plaży znów ta kobieta
z dzieckiem wtulonym
czeka

Mirosława Poncyliusz

Człowieczeństwo

Najbardziej jesteś wtedy gdy jesteś
bezbronny
jak pisklę albo kocię kiedy matka zginie
kiedy patrzysz na dziecko w czułej chwili
milczenia

gdy trzymasz mnie za rękę

Gdy szykujesz herbatę z malinami dla
zdrowia

Gdy zabierasz z drogi psa potrąconego
i gniewasz się na draba który dla zabawy
strzela z wiatrówki do wron (choć ich
nie lubisz)
gdy jak szalony krzyczysz z bezradności

Kiedy łzę przede mną ukrywasz

Jerzy Benjamin Zimny

Zmienna losowa

Mój wiek jest sumą wydarzeń
niekoniecznie z moim udziałem.

Te które mnie dotknęły
były zamierzone, jak wszystko
inne konieczne, resztą kierował
przypadek, nie mający szans
na wygraną, ani ślepy los
nigdy do mnie nie trafił.

Dlaczego więc jestem tutaj
gdzie jestem, dopadają mnie
choroby typowe dla mojego
charakteru. Dlaczego jesteś
przy mnie i nadal lubię placki
ziemniaczane. Czyżby triumf
prawdopodobieństwa na koniec
procesu poznawania samego siebie.

Tyle zmiennych losowych
a tylko jedna dotarła do serca,
jak miłośna strzała, jak kroplówka
zbawienna. Nie wszystko jest
do pojęcia, nie ma takiego
obowiązku zrozumieć samego
siebie. Wystarczy zrozumieć siebie.

Kimkolwiek jesteś.

Zdzisław Czwartos

Jesiennych chwil kilka

Był mostek
pod nim rzeczka płynęła wolno
z lekkim szumem
byliśmy razem
z nami księżyc
i szczęścia tyle że nie umiem
wyrazić tego

Kochana moja
czy Ty pamiętasz tamte chwile

A kiedy chłodny wiatr
owiewał nasze twarze
wracaliśmy do domu
liście jesionów złotem
malowały drogę

Krzysztof Galas

Motyl

W szklanej gablocie zasypia motyl
drętwieje pamięć niechętna do zwierzeń
gaśnie ostatni lampion
wiara podszyta wstydem i strachem
Pragnienia nie mają szans
a pieniądze zawsze mogą się przydać
łatwo przegrać
zdać sobie sprawę że nigdy nie będzie lepiej
stać się maruderem niedosłownym
niesłownym
przyglądać się własnym łzom

Czasami trzeba poczekać
wymknąć się zmęczeniu
kochać i cierpieć
bać się ale wierzyć
Żeby nie przegapić mądrości
co przychodzi mimo woli

Marek Słomiak

czekanie...

wszyscy umierają
i rodzą się wszyscy
i staje się ludzka
pokuta
sekunda spojrzenia
ruchu sekunda
golgota myśli
i zmysłów tortura
- a z przestrzeni
przenika ciebie
gest niewyczuwalny
- stąpasz po twardym
gruncie urodzaju
lub toniesz w bagnie
czeluści czarnych
jak stracona nadzieja

- - czekasz na spotkanie
z sobą

Edyta Kulczak

Odwrócenie

Gdyby się spadło z okna w sukience
zwiewnej czerwonej
to lepiej dla koloru i lepiej dla oka
lepiej też niż w niebieskiej jak zimna suka
która nigdy nie miała nic wspólnego z Bogiem
choć w kolorze niebios
splątana łąduje na bruku w częściach

Gdyby się spadło z okna nago
wyglądałoby trochę jak wołanie o pomoc
psychologiczna ustawka czytelna i jasna
dla wprawnego odbiorcy bezradnie naiwna
rodem z pseudoromansów żenująco tkliwa
nawet żałosna w wymowie

Gdyby się zeszło po schodach zwyczajnie
z góry w dół z ciemności w jasność
nikt by nie zauważył i nie czcił zwycięstwa

Krzysztof Grzechowiak

* * *

Nie byle jakie gorycze
O przyczynach zamilczę
Nie ma co wchodzić w detale
I próżne nad sobą żale

Świecie płaski jak szyba
W którym się tylko bywa
Jesteś na chwilę odbiciem
A zaraz prochem i niczym

Zawodne twoje rachuby
I tak nie unikniesz zguby
Przebrania grymasy maski
Chodnika ruchome piaski

Już wystawiony rachunek
Za ciała obstalunek
Poduszkę nabitą wiórami
Cztery deski i wiatru lament

Stanisław Chutkowski

Terapeutyczna gra słów przy muzyce Bacha według książki „Wilkołak” Artura Dudzińskiego

Z ciekawością czytałem książkę „Wilkołak” Artura Dudzińskiego, pisarza młodszego pokolenia. Książka opowiada o życiu mężczyzny i jego problemach, poczynając od dzieciństwa do dojrzałego już wieku. Fabuła oparta jest na zwierzeniach bohatera przed terapeutką, wprowadza czytelnika w intymną cielesność i wstydlive wątki ludzkiego życia.

Zbudowana jest na wzór trzydziestu „Wariacji goldbergowskich” Jana Sebastiana Bacha i jednej arii. Rozdziały tej książki są odpowiednikiem „Wariacji” – sesji terapeutycznych bohatera.

W pierwszej sesji dowiadujemy się o buncie chłopca wobec rodziców i świata. Brak matczynego ciepła i ojcowskiej troski powodują rozgoryczenie. Chłopiec jest bardzo wrażliwy, potrzebuje wsparcia, pomocy, której nie dostaje od surowych rodziców. Przemoc i bicie stają się jedyną formą jego wychowania. Matkę nazywa Czlekołakiem, a ojca Wilkołakiem. Obydwoje zajęci swoimi sprawami zostawiają syna na uboczu. Jest zagubiony, co doprowadza go do frustracji. W swojej seksualności szuka rozładowania emocji.

W dalszych sesjach wyznaje, jak stopniowo wchodził w seksualność i jakich nabierała ona cech. Przebieranie się w stroje matki, siostry, osiąganie doznań własnego ciała stało się obsesją. Z czasem przenosi ją na mężczyzn, którzy są dla niego wzorem do naśladowania. Wyobraża siebie w ciele swojego idola, pisarza Jarosława Iwaszkiewicza. Potrzebuje pomocy, aby wyjść z kręgu zła.

Rozdział po rozdziale bohater otwiera się coraz bardziej. Przez niemal wszystkie sesje przejawia się jego chorobliwa seksualność oraz żal i ból. W miarę dorastania rodzą się w nim kontrowersyjne poglądy o porządku świata i kraju. W jego psychice dominuje zło, kłamstwo, obłuda, faryzeuszostwo Kościoła i hierarchów oraz ukrywająca się seksualna dewiacja. Punktem kulminacyjnym książki jest sen bohatera. To w nim występują osoby czyniące zło. Zanurzają się we krwi umieszczonej w basenie kąpielowym, krew jest pożywieniem złych ludzi, wszystkich wilkołaków.

Podjęcie normalnego życia w ciepłe własnej rodziny zawdzięcza trzem osobom. Pierwszą jest żona, którą bezgranicznie kocha i modli się do niej w swoich litaniach. Drugą – ulubiony kompozytor Bach i jego muzyka, będąca lekarstwem na stres. Trzecią pozostaje terapeutka, która stoi przy nim i podpowiada, czym jest dobro. Bohater często wypowiada swój pogląd o istnieniu Boga. Mówi, że

nie wierzy i przytacza wiele wydarzeń, cierpień, w których Bóg nie przychodzi z pomocą. Krytykuje porządek Świata. Zaskakująca jest jego modlitwa na wzór „Wierzę w Boga...”: „Wierzę w Ducha Kłamstwa wszechobecnego i wszechmogącego – ojca i matkę, i nocy początek, w niezrozumienie i niewiedzę ludzką, ślepotę i strach ludzki”.

W tych modlitwach wypowiada swoje życiowe żale wobec ojca, matki i wszystkich, którzy mu wyrządzili krzywdę. Wierzy w uczłowieczającego nas ducha, w pokój na Ziemi i ludzi dobrej woli, wierzy w Beatę i jej wierność. Bohater mimo życiowego cierpienia, pokonał swoje słabości i uwierzył, że jest potrzebny swoim bliskim i społeczeństwu.

Książka Artura Dudzińskiego może posłużyć jako przewodnik ludzkiego życia, jego duchowości, seksualności. Uzmysławia czytelnikowi jak wielka jest gama zła nagromadzonego w nas i ile trzeba ponieść trudu, aby z niego wyjść. Można nie podzielać poglądów bohatera książki, nie utożsamiać się i nie zgadzać z nim, ale należy poznawać tę sferę intymności człowieka, aby mieć własną wizję i ocenę zdarzeń.

Artur Dudziński, „Czlekołak”, Wyd. MAMIKO, Nowa Ruda 2019.



Stanisław Szwarz

Jeszcze w drodze

Jest taki czas w naszym życiu, że w każdym dniu, w każdej godzinie otwieramy się na ogromny świat przed nami, na nowych ludzi, nowe doznania i nie zważamy na to, co za nami.

Jest też taki czas, kiedy dociera do naszej świadomości, że coraz więcej świata, ludzi i doznań zamyka się za nami bezpowrotnie, a to co przed nami, rysuje się nader niewyraźnie.

Gdzieś pośrodku jest czas, w którym mamy pełną świadomość, że przechodzimy przez życie jak przez nieskończoną amfiladę intrygujących pokoi. Jeszcze nieskończoną. O tym właśnie czasie mówi książka Katarzyny Mroziak-Stefańskiej „otwieranie zamykanie”. Tytuł zapisany właśnie tak – z małej litery i bez przecinka w środku. Jesteśmy w środku tego ciągu otwierania i zamykania dziejących się równocześnie i płynnie.

Żeby jednak dało się osiągnąć taką dojrzałość, takie stoickie spojrzenie na świat, który *pędzi jak autostrada*, niezbędne było „źródło”, z którego relację zdaje autorka w pierwszej części swojej książki właśnie tak zatytułowanej. Rodzaj tego źródła deklaruje od razu w pierwszym wierszu – *nie stoi za mną historia pokoleń / pisana złotą obwódką na rodowej porcelanie /.../ urodziłam się na kamieniu polnym / a niebo nade mną całe / było*. Niebo, słońce, kamień, pole, ptaki pojawiają się często w tych wierszach. Bohaterka tych utworów czerpie z nich – z nieprzemijających elementów przyrody – świadomość, że płynięcie przez czas jest czymś naturalnym, czymś, co trzeba po prostu zaakceptować. Nie oznacza to wyrzeczenia się źródeł ludzkich, rodzinnych. Liść klonu kojarzy się z dłońmi *mojej matki / babki Anny / prababki Katarzyny / po której noszę imię*. Zwykle domowe czynności są wykonywane ze świadomością kontynuacji poprzedniczek. *Pewnie tam w niebie gotujesz już rosół / jak zwykle w sobotę /.../ i ja zatem siekam pietruszkę / drożdże rozrabiam / bo jakżeby dzisiaj / w sobotę / inaczej*.

Ileż to rzeczy i spraw można otworzyć. *Otwieram szare drzwi dnia*. I co z tego, że szare, kiedy w nich *kropła nadziei /.../ wisi na cienkiej pajęczej nici*. Co z tego, że życie przypomina sztorm na oceanie – *a przecież po burzy / znajduję na plaży bursztyny*. Każdego dnia otwieramy się na drugiego człowieka, jakbyśmy poznawali go od nowa – *ukryaliśmy się przed sobą / w zakamarkach dnia /.../ wieczór wytuskiwał nas z siebie / jak ziarna fasoli*. Przyroda odgrywa w tym otwieraniu ogromną rolę. Uczy otwierania rozumianego jako nieustający optymizm. *Obserwuję kosy / co roku zakładają gniazdo / pod wciąż niewykończonym / dachem mojego domu /.../ czasami pożyczam od nich skrzydła / i zaczynam na nowo budować gniazdo / pod wciąż niewykończonym dachem*.

Jeżeli otwieranie i zamykanie dzieją się nieustannie, musi być między nimi łącznik – „droga”. Tę część książki otwiera zdecydowanie stwierdzenie – *Codziennie wyruszam w podróż dookoła życia*. Ta codzienna podróż najbardziej fascynuje bohaterkę wierszy. *Bo przecież najciekawiej jest kiedy stajesz /.../ pomiędzy zadaniem pytaniem / a odpowiedzią której jeszcze nie znasz*. Można w tej podróży wbrew lękowi przestrzeni zamaryć o skoku na bungee, *by przez chwilę zrozumieć*

PROTOKÓŁ
kulturalny

Ikara. Można też bardzo przyziemnie przyjąć perspektywę Nr 71-72/2019-20 mrówki, *gdy zwykła droga przez las byłaby odkrywaniem / innej galaktyki*. Trzeba tylko uważać, *bo mogłabym potknąć się / o ziarno piasku / w oku*. Przy tak bogatym przeżywaniu drogi konieczne jest jakieś antidotum. To niezwykle, że fascynację zwykłym życiem bohaterka równoważy przeżyciami bardzo skrajnymi.

balans

lubię czytać krwawe współczesne kryminały i zbierać stokrotki w ten sposób łapię równowagę nabieram pewności że nie zachłysnę się życiem na śmierć

To co otwarte musi się kiedyś zamknąć. Przypomina o tym wiersz „ramka z sentymentalnym zdjęciem”, w którym można dopatrzeć się echa słów Wisławy Szymborskiej – *„nic dwa razy się nie zdarza”*. *A nawet jeśli / spotkamy się znowu / przy tym samym stoliku / w kawiarni na rogu /.../ to już nie będzie / ta sama kawa / ta sama wiosna / to słońce / a w filizance na dnie / rozmyją się nasze cienie*. Jednak nawet zamykaniu towarzyszy nadzieja. *Jeżeli chwasty w pamięci sięgają korzeniami do otwartych ran*, to przecież można *zaorać myśli, posiać ziarno / może wyrosnie z niego słońce*.

Książkę Katarzyny Mroziak-Stefańskiej zamyka jej własny tekst „zamiast posłowania” *Nieczęsto zdarza się takie uzupełnienie*. Autorka jasno precyzuje, do kogo adresowane są jej wiersze.

Wydaje ci się, że wszystkie swoje „pierwsze razy” masz już za sobą. /.../ masz świadomość, że pozostał ci – na pewno – ostatni „pierwszy raz” Ale jest jeszcze nadzieja, a ona /.../ zawsze kroczy przodem.

Banałem jest stwierdzenie, że w poezji wszystko już było – świadomość przemijania, nadzieja. Walorem tych wierszy jest ich język, pomysłowość obrazowania, które nadają tekstem ciepło i mądrą czułość daleką od sentymentalizmu. Przytoczone cytaty, to tylko próbki. Trzeba bardzo kochać bliskiego człowieka, żeby powiedzieć mu tylko z pozoru drastycznie – *chciałabym podarować ci /.../ moją śmierć / zapakowaną w puste pudełko / po życiu*. córce, która zapewne wyfrunęła już z rodzinnego domu dedykuje Autorka słowa – *na wycieraczkę przeciągał się / ślad twojej stopy*. Nieustającą nadzieję wyraża pięknym aforyzmem – *Nawet jeśli zamkniesz wszystkie drzwi i okna, / w środku jest jeszcze przestrzeń na oddech...*

Wiersze tej książki odwołują się często do przyrody. Widać że Autorka jest wnikliwą jej obserwatorką. Nic dziwnego, skoro także z zamiłowaniem ją fotografuje, a zdjęcia doskonale dopełniają tekst poetycki.

Katarzyna Mroziak-Stefańska, „otwieranie zamykanie”, Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomyślu, Nowy Tomyśl 2019.

Robert Kowalski

W kręgu Wieszcza

dokończenie

Jedna z ostatnich wzmianek o Ksawerze Deybel pochodzi z 1888 roku, z listu Aleksandra Walickiego, którego niejaki Władysław Bełza poprosił o kontakt z córką Mickiewicza, Marią Gorecką w sprawie utworów muzycznych skomponowanych przez poetę. Walicki napisał: „Żadnej melodii ojcowskiej pani G. nie pamięta. Niektóre z nich są spisane i znajdują się u dawniejszej panny Ksawery Dejblówny, obecnie zamężnej za Francuzem w Paryżu. Może Pan do niej trafić będziesz umiał.”

Jest niemal pewne, że Adam i Anna mieli co najmniej jedno dziecko, o czym wspominało w swojej korespondencji kilka osób niezależnie od siebie. Dziewczynka miała nosić imię Andrée, na cześć Andrzeja Towiańskiego. Czy faktycznie istniała? Jest to prawie pewne – osoby zdecydowanie niechętne jej matce, jak Maria, córka Mickiewiczów, czy Zofia Szymanowska, nigdy nie kwestionowały istnienia potomstwa Adama z „towianicą Deybel”, mimo że ta kwestia wielokrotnie pojawiała się w ich korespondencji. Waleria Kulwieciowa, córka Andrzeja Towiańskiego, podczas wizyty u Ksawery i jej męża w 1861 roku poznała „młodą, rudą i rezolutną panienkę”, która oznajmiła jej: „A ja jestem córką Adama Mickiewicza.” Seweryn Goszczyński, poeta i towiańczyk prowadzący „Dziennik Sprawy Bożej” zanotował pod datą 20 czerwca 1849 roku: „Adam od kilku dni wyjechał na wieś - ma być także słaby. Nie wiedząc, dokąd wyjechał; mnie się zdaje, że jest w Nanterre, bo pozawczoraj widziałem tam przechodzącą Ksawerę Deybel, która, jak mówią, w Nanterre odbywa połów.” Jeśli faktycznie Ksawera urodziła wtedy Andrée, to jej córka w dniu wizyty Kulwieciowej wtedy jedenaście albo dwanaście lat. Pasuje to również do dossier Mainarda z 1870 roku, według którego jego dwie najstarsze córki (czyli Claire i Andrée, notabene nie był biologicznym ojcem żadnej z nich, ale prawdopodobnie uznał je za swoje) były wtedy zdolne do pracy zarobkowej. W almanachu polonijnym z 1891 roku występuje również jakaś panna Mainard. Po śmierci Mickiewicza jego znajomi, rodzina i wielbielecy złożyli się na specjalny fundusz, który miał zabezpieczyć przyszłość jego dzieci. W tym czasie do Marii Mickiewiczówny napisała Ksawera z prośbą o uwzględnienie Andrée w podziale funduszu. Mickiewiczówna jednak stanowczo odmówiła. Pani Mainard jeszcze wielokrotnie kontaktowała się z dziećmi Adama, bezskutecznie prosząc o wsparcie finansowe. Niezawodny Seweryn Goszczyński w 1858 roku zanotował: „Wczoraj słyszałem od Łęckiego, że Ksawera (Deibel, a dziś Menardowa) pisała do Wł. Mickiewicza w tej treści: „Mąż mój jest bez miejsca, jesteśmy w niedostatku, mamy troje dzieci, żądam od ciebie 2000 fr. na wychowanie dziecka twój Ojca”. Miała ona to dziecię w r. 1847; rozpuszczano, że ojcem jego był Mickiewicz; to pewna, że

jakiś czas chowało się w domu Mickiewicza. Bądź co bądź, bezczelność tej niegdyś naszej Siostry jest rzadka. Nie darmo czułem do niej stały wstręt w najlepszych jej chwilach, kiedy dla niektórych uchodziła niemal za świętą. Jednak nigdy nie udało jej się z nimi pogodzić.” Niestety, dzieci Mickiewiczów, pragnąc, aby ich ojciec został zapamiętany jako wzór do naśladowania, zniszczyły wiele bezcennych dokumentów rzucających światło na tamte wydarzenia. Wiadomo, że spaliły całą korespondencję Ksawery z Adamem, a także pamiętnik Zofii Szymanowskiej, o którym jej mąż pisał: „W Pamiętnikach żony mojej, które odczytuję, znajdują się rzeczy [o domu Mickiewiczów] skandaliczne – brudy i paskudztwa łajdakerii towiańczyków, dowody bezrządu, paskudzenia się z nierządnicą Deybel, długa i haniebna historia, która by więcej szkodzić mogła pamięci Adama niż co bądź innego. Moja najukochańsza Zofia widziała tę podłą towianicę i jej z Adamem spółdzone dziecko, widziała traktowanie niegodne siostry itd. itd. i czyste wariactwa Wielkiego Człowieka, i to opisuje...” Z tego też powodu dziś nie sposób ustalić, co dokładnie zaszło w domostwie Mickiewiczów.

Zaskakująco mało mówi się o Celinie – żonie Adama Mickiewicza, a była niemal równie ciekawą postacią jak on sam. Dość powiedzieć, że była córką niegdysiejszej przyjaciółki poety, Marii Szymanowskiej, Celina po urodzeniu drugiego dziecka zapadła na tajemniczą chorobę psychiczną, z której – zdaje się – nigdy się nie wyleczyła. Szczegóły jej kondycji psychicznej oraz okoliczności, w jakich jej stan się ujawnił, stanowią zagadkę dla badaczy historii literatury niemal od dwóch stuleci. Złożyły się na to trzy kwestie – mentalność epoki, status jej męża i starania jej dzieci. Schorzenia psychiczne w XIX wieku stanowiły tabu, a w korespondencji na ten temat starannie omijano jakiegokolwiek szczegóły. Dodatkowo Celina była żoną Wieszcza, największego polskiego poety, zatem aby nie szargać reputacji, mówiono o jego wybrance i jej stanie psychicznym samymi ogólnikami. Wreszcie najstarsze dzieci Mickiewiczów, Maria i Władysław, dołożyły starań, aby ich ojca przedstawiano w oficjalnych biografiach z jak najlepszej strony. Aby nie dopuścić do kontrowersji, wiele źródeł (listów, pism, dokumentów) po prostu zniszczono. Na pewno pierwszy atak nastąpił krótko po narodzinach Władysława, o dziwo przy drugim dziecku, nie pierwszym. Celina wrzeszczała na całe gardło albo stała całymi dniami, wpatrzona w ogień w kominku. Podczas pierwszego ataku głosiła, że jest Matką Boską Częstochowską oraz że zamierza wskrzesić Polskę i zbawić Żydów. Być może doszły wtedy do głosu kompleksy kobiety pochodzącej z rodziny frankistów, a zatem żydowskich przechrztów. Antysemityczne środowisko emigracji polskiej w Paryżu wielokrotnie wypowiadało się w krytycznych słowach o Celinie i jej przodkach. Wśród nich był i Zygmunt Krasiński. Mickiewicz sprzeciwiał się hospitalizacji żony, wierząc święcie, że pomoże jej swoim bezwarunkowym wsparciem i siłą miłości. Ostatecznie jednak słowa chorej małżonki doprowadziły go na skraj załamania. Ten niegdyś czarnowłosy mężczyzna w wieku czterdziestu lat kompletnie osiwił.

Domniemane, niedoszłe samobójstwo Mickiewicza (gdyby wtedy zginął, miałby w chwili śmierci niespełna czterdzieści lat...). Nie próbował targnąć się na swoje życie ani wcześniej, ani później – choć niejednokrotnie przeżywał piekło i brakowało mu nadziei na lepsze jutro. Jakże to słowa

zatem doprowadziły go do takiego stanu? Niestety kobieta, niepanująca nad swoim językiem, mogła wykorzystać swoją wiedzę na temat życia wewnętrznego męża, aby go jak najmocniej skrzywdzić. Czyżby zatem wypominała mu bierną postawę podczas powstania listopadowego – coś, czego ani on nie potrafił sobie wybaczyć, ani też inni nie dali mu zapomnieć? A może zarzuciła poecie, że niemal przestał pisać. W tym czasie Juliusz Słowacki tworzył i publikował bardzo dużo, mimo stale pogarszającego się stanu zdrowia. A może Celina poruszyła kwestię pieniędzy, których ciągle brakowało w domostwie Mickiewiczów? Dorastanie w domu światowej sławy pianistki przyzwyczało ją do pewnego poziomu życia, którego biedny poeta nie był w stanie jej zapewnić. Mickiewiczowa była nawet zmuszona sprzedać klejnoty rodzinne, jedną z niewielu pamiątek po przedwcześnie zmarłej matce. Celinę wypuszczono z zakładu w Vanves po kilku miesiącach, gdy jej stan się poprawił. Niedługo później zaszła ponownie w ciążę. Po narodzinach kolejnego dziecka choroba zaatakowała raz jeszcze. Tym razem Mickiewiczowa całe dni spędzała przed lustrem, strojąc się i obwieszając biżuterią. Raz jeszcze wysłano ją do Vanves. Podczas hospitalizacji jej maleńkimi pociechami zaopiekowali się bliscy znajomi. Wtedy w życiu rodziny Mickiewiczów pojawił się Andrzej Towiański. Nakazał przeprowadzenie do siebie Celinę, a gdy spełniono jego polecenie, w tajemniczy sposób ją "uleczył". Wprawdzie w późniejszych latach zdarzały się jeszcze niewielkie nawroty choroby, ale nigdy do tego stopnia, co przed wizytą u proroka z Litwy. Niedługo bowiem po Towiańskim u Mickiewiczów zjawiała się Ksawera Deybel. Zatrudnili ją jako opiekę dla swych dzieci. Nawiązała romans z Wieszczem, Celina zaś z początku niczego nie zauważała. Dopiero później podjęła walkę o męża, narodziły się kolejne ich dzieci. Mickiewicz jednak znalazł bratnią duszę w Ksawerze i wspólnie angażowali się w Kole Sprawy Bożej, do którego należała również Mickiewiczowa. Ona sama, choć wdzięczna Towiańskiemu za „uzdrowienie”, nie była tak mocno zainteresowana mistycyzmem i potrzebą duchowej przemiany. Ostatecznie drogi Adama i jego Mistrza rozeszły się. W wieku niecałych czterdziestu lat Celina poważnie zachorowała (tym razem fizycznie, na nowotwór), a do pomocy Mickiewiczom przyjechała jej przyrodnia siostra, Zofia Szymanowska. Ostatecznie Mickiewiczowa zmarła w 1855 roku, osierocając sześćcioro dzieci, w tym Jana, który odziedziczył po niej chorobę psychiczną.

Noty, wypisy na temat Adama Mickiewicza i osób tworzących krąg mu najbliższych – w ujęciu tu autorskim, cokolwiek ryzykownym... Jak w tytule książki Jakuba Skorza – „Adaś Mickiewicz. Łobuz i Mistrz”? Zwłaszcza, jeśli przywołać świadectwa Teofila Lenartowicza, Seweryna Goszczyńskiego – „Dziennik Sprawy Bożej”. Także, nominowaną do Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida, solidnie udokumentowaną opowieść biograficzną prof. Zbigniewa Sudolskiego „Panny Szymanowskie”. Wieszczy jawi się w tych publikacjach (także w zachowanych listach) jako czuły mąż i ojciec. (J G)

Jolanta Szwarz

Być

Tu, czy tam?
Chciałoby się i tu, i tu, i tam.
Być
blisko tych, którzy odeszli.
Pogadać
Przyłożyć ucho do mogiły
i czekać, aż głos stamtąd
przebijie ziemię.
Cisza.
tylko pamięć przywołuje
to, co było tutaj.
Stamtąd
żadnych wieści złowić nie można.
Nic nie przybliży tego, czego
„żadne oko nie widziało
i żadne ucho nie słyszało.”

Michał Sławski

Rozstanie

A może rzeczy tak się mają właśnie,
że śmieją mi się prosto w twarz
kawa już wystygła
Sen nie przychodzi
i ciebie nie ma tutaj
jakby nigdy nie było

Piszę ostateczne strofy
samozagłady
w oczekiwaniu na najlepsze
Poradzę sobie wiem
wiemy to oboje,
wiemy, aż za bardzo

Weronika Materkowska

haiku

różowe kwiaty
na gałęziach poruszył
wiosenny powiew

im dalej naprzód
morze rozognione lśni
blaskiem zachodu

Jacek Juszczak

Wokół roku 1939

W 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej Jan Wojciech Malik, o ile wiem jako jedyny poznański artysta, przedstawił w Empiku wystawę zatytułowaną *NIGDY WIĘCEJ!* Jest to kontynuacja programu malarskiego i poetyckiego autora, tym razem złożona z kilkunastu obrazów pojedynczych, na ogół o dużych rozmiarach, lub w formie polipptycznych cykli.

Pierwszy rzut oka na ekspozycję wydobywa z niej dominujące barwy szarości, czerni, bieli i czerwieni. Nad zasnutym chmurami niebem unoszą się jak klucze przelatujących ptaków flagi w narodowych barwach - proporce zdjęte z ułańskich lanc. Ciemnoszaro-czarna ziemia usłana jest już zniekształconymi, wybielonymi kośćmi, tu i ówdzie zachowującymi kształt czaszek kontrastujących z ostrą czerwienią barwy skrzepłej krwi, często wtapiające się swą już skruszoną strukturą w grudy zrytej ziemi. Zarys dłoni dotyka, gładzi kopuły skamieniałej głowy gestem wiecznego pożegnania. Bryły hełmów złożonych obok siebie układają się jak w motywie martwej natury, lecz to konwencjonalne określenie motywu malarskiego ma tu dalekie znaczenie od technicznego pojęcia. Z podłoża – pola, na którym je ułożono przenika w stronę widza powiew o zapachu śmierci. Przenikliwie wilgotny, nie dający się odgarnąć z twarzy patrzącego.

Trzy karabiny trzech różnych armii zwieńczone trzema hełmami wbite bagnietami w glebę tworzą symboliczny znak – tragiczne logo przestrogi. Tytuł tego obrazu *Równi wobec śmierci* jest syntezą dramatu dziejowego, ponadnarodowego.

Jednakże los naszych żołnierzy, poległych w tamtych i wielu innych dniach, miesiącach i latach, odzywa się echem tak nam znanych słów i zdań, tytułów innych dzieł autora: *Nierówna walka 1939*, *Pokonani*, *Rozdziobią nas* i wśród innych - *Dobosz*. Kolorowy, nawiązujący do patriotycznej pocztówki obraz chłopca z charakterystycznym wyposażeniem, w wojskowej czapce z innej historycznie epoki – staje się w tle ekspozycji wieloznacznym, uniwersalnym dla nas znakiem. Wieloznacznym: pamięci i zobowiązania przez wszystkie tamte tragiczne zdarzenia – do stałej gotowości.

J.W. Malik dołączył do swej wstrząsająco wyciszonej, refleksyjnej, lecz przez to tak bardzo ekspresyjnej, poruszającej struny naszej wrażliwości prezentacji, cztery rozbudowane wiersze – jak elegie. Oto wyimki z ostatniej z nich: *Dziękuję za minutę ciszy / Za milczenie. /.../ Myślę, że w ciszy jest pamięć, / Przestroga i dbałość / O tych co za nas odeszli / Do bram otwartego nieba.*

Ze swej strony, nie mógłbym nie dodać do słów opisujących ten wstrząsający pokaz, wątku osobistego. To po raz pierwszy publikowany drobny fragment obszernych wspomnień z 1939 roku (miałem wtedy rok życia) mojego ś. p. Ojca Edwarda, kawalerzysty, ppor. rez. 7 Pułku Ułanów

Lubelskich im. Kazimierza Sosnkowskiego, walczącego na wrześniowych polach, odznaczonego Krzyżem Walecznych. Oto ten zapis z książki *„Stąd nasz ród”*.

„(...) usłyszałem serię z ckm od strony nieprzyjaciela. Zerwałem się i pobiegłem do sekcji rkm. Od strony wroga szczykały długie serie, które cięły gałęzie wiśniowego sadku. Leżeliśmy przed nim w kartoflisku.

Z naszej strony nie padł ani jeden strzał. Wróg nie był widoczny, a seriami chciał sprawdzić czy teren jest zajęty i sprowokować ogień. Dobrze wyszkoleni ułani wiedzieli, że nie rozpoczyna się ognia do niewidocznego celu. Niemcy (...) poderwali się z ukrycia i w kolumnkach szli przez pola. Miałem ich cały czas w szklach lornetki (...) Szli pod słońce i byli dobrze widoczni; w swoich garnkowych hełmach wyglądali groźnie. Wreszcie wydałem rozkaz. Krótkimi seriami naszego rkm zatrzymaliśmy nacierających Niemców. Ogień rkm uzupełniały nasze karabinki strzelające ogniem pojedynczym (...). Zza jakiejś osłony bił długimi seriami ckm. Dwie krótkie serie z naszej strony uciszyły go na chwilę. Zauważyłem, że czołgają się [tam] dwaj Niemcy. Celowniczy już ich zdążył też spostrzec. Dwie krótkie serie unieszkodliwiły i tę obsługę. Niemcy zasypywali jednak naszą placówkę z innych kierunków ogniem broni maszynowej. Nie mogąc wykurzyć naszego szwadronu (...) rozpoczęli ostrzał artyleryjski. Na rozkaz wycofaliśmy się do pobliskiego lasu.”

Danuta Ewa Dachtera

„Pójdę za tobą do Polski, choćby było ich kilka” - Mikołaja Bogajewicza diagnoza polskiej rzeczywistości.

Jest wiele powieści... Czym na ich tle wyróżnia się dzieło Mikołaja Bogajewicza?

To oczywiście, jak trafnie opisuje Marek Czuku: „wielokulturowa, globalna i totalna dawka erudycji i wyobraźni”. Nie jest to jednak „sztuka dla sztuki”. Akcja powieści toczy się wielopłaszczyznowo, wielowątkowo, w różnych miejscach, ale... jak mantra pojawiają się aluzje, alegorie i innego typu odniesienia do naszej polskiej rzeczywistości, jej najnowszej historii - konsekwencji wydarzeń Okrągłego Stołu. W powieści dokonuje się alegoryczna zamiana: „Jakaś zwariowana czarownica pozamieniała państwa, płyty kontynentalne, a z całą pewnością dusze i ciała”. I dalej: „Tak, to wszystko przez okrągły stół [...] przenieśli gołców do nowych domów, miast, przebrali po zachodniemu, tylko dusze zostawili, dusze, twarze i nasz piękny, sarmacki język.” Konsekwencje tej zamiany budzą sprzeciw: „PRECZ Z ZAMIANA, SARMACJA DLA SARMATÓW” oraz są przyczyną napięć społecznych: „wykluczeni starli się z proeuropejską młodzieżówką i bojówkami cynickimi”. Są też załącz-

kiem polaryzacji politycznej: „W przyszłości liderzy obu frakcji zrobią karierę w biznesie i polityce”.

Często akcja powieści rozgrywa się w zmienionym, a raczej zamienionym Poznaniu. Co do czasu, sytuacja jest podobna - niedookreślona i alegoryczna. „Doktor Rustam i podwodne zwierzęta” jest utworem napisanym nowocześnie, interesująco; twórca nie szczędzi nam atrakcyjnych fabuł, żartu, odwołań kulturowych, różnych konwencji np. gry. W części drugiej powieści jawi się nam zmieniony – zamieniony obraz ponowoczesnego świata, do którego dobrze przystaje sytuacja groteskowej, wielowątkowej gry. Nie jest go w stanie opisać literatura, to już nie wystarczy. A jednak i w tym świecie nadal toczy się walka – gra między dobrem i złem, a bohaterowie są w nią ogromnie zaangażowani... Pomimo tej pozornej „lekkości bytu”, widoczne jest zakorzenienie w polskości: „Pójdę za tobą do Polski, choćby było ich kilka” oraz tradycyjnych wartościach: miłości, małżeństwie, przyjaźni, lojalności, uczciwości, odpowiedzialności, byciu pomocnym, wierze... A do tego dominującym motywem powieści jest walka dobra ze złem.

Autor powieści przybiera zaskakujące maski, figury, wciela się w bohaterów i bohaterki bajek, chociaż „przychodzi zawsze ten sam, ale co, kto i jak czyta, to zależy od odbiorcy oraz od tomu bajek, który ma w ręce”. Autor pod postacią babci Manzan Gurme mówi: „Poprzednio szukaliście przyczyn zła, bawiliście się w lekarzy” i dodaje - „a na razie najważniejsze są trzy rzeczy: wiara, nadzieja i miłość; (...) lektura wymaga znajomości historycznego kontekstu”.

Nie jest to bowiem odrealniona opowieść fantastyczna, lecz alegoria, będąca diagnozą naszej rzeczywistości. Jakże aktualny wydaje się podział Polski (w powieści autora na katolicką północ i szybką południe).

Tak więc nudno nie będzie; jest co czytać i nad czym się zastanawiać. Czy można na tym zakończyć ten krótki tekst o tekście? Niestety, nie! Polska rzeczywistość toczy się dalej, a polaryzacja polityczna oraz społeczna pogłębia się. Krótkotrwała nadzieja na jej zmniejszenie po tragicznych wydarzeniach ze stycznia 2019 roku odeszła w przeszłość. Czyżby proroctwo Mikołaja Bogajewicza stało się rzeczywistością? Autor dodaje przecież także, że „na razie najważniejsze są trzy rzeczy: wiara, nadzieja, miłość”.

Mikołaj Bogajewicz, „Doktor Rustam i podwodne zwierzęta”, Wydawnictwo Literackie ATENA, Poznań 2017 r.

Małgorzata Szczęsna

Horyzont

Czuła opadanie powiek
(widziała opadania słońca)
były coraz cięższe
a jednak nie chciały przegapić
takiego widoku
Kiedy je zamknęła pozostał
obraz
zachód zachodów



Paula Gotszlich

Marność

Krążę ulicami. Trudno
odnaleźć prawdziwy szczyt,
kres i ziemską potęgę.

Jedna strona katowickiego Rynku.
Cóż to musi być za Zenit,
jeżeli ciągle wychodzą z niego ludzie?!

Prąd

bądź wierny
i nie idź
bo nie ma dokąd uciec

Szympansy

Widziały mnie wczoraj szympansy.
Posmutniały, bo wiedzą, że pochodzę od
małpy.

Staram się.
W ślad za człowiekiem dobrego serca
próbuję być chociaż dobrej myśli.
Staram się.
Ukrywam się w tłumie, bo nie mogę
omiąć miejsc podobnych do dżungli
i sawanny.
Stąpam po trawie wydziału filologicznego.
Gorąco pozdrawiam.

Trans

temperatura powietrza niemal równa
temperaturze
ciał ludzi a to co mnie miażdży
dziś chciało mnie urodzić

Paula Gotszlich ur. w 1992 r. w 2016 roku została „wyłowiona” w Połowie Biura Literackiego, debiutowała książką „Bezdech” (Wydawnictwo Fundacja Duży Format, Warszawa 2019), mieszka w Tarnowskich Górach.

Dlaczego Babiński...

Andrzej Babiński, którego śmiało moglibyśmy włączyć do grona poetes maudites, znany jest przede wszystkim jako legenda, która krąży po Poznaniu – „postrach” Stanisława Barańczaka, Edwarda Balcerzana i wielu innych poetów, którzy wpisali się w poetycką historię Poznania, uznawany za szaleńca i skandalistę. Za życia wydał tylko dwa tomiki poezji: „Z całej siły” (Poznań 1975) oraz „Znicze” (Poznań 1977), pośmiertnie zaś ukazały się „Znicze i inne wiersze” (Poznań 1985) oraz publikacja odsłaniająca miłość poety do Krysztyny Orłow „Uwierzenie moje”, mająca wartość tekstologiczną, gdyż zawiera po kilka, a czasem kilkanaście, utrwalonych wersji poszczególnych wierszy. Jest to tomik bardzo ważny również z tego względu, że znajdują się w nim – prócz wierszy – listy, które pisał do kochanej przez siebie dziewczyny, a także szkice i zapiski, świadczące o wielkim – ale i nie wolnym od szaleństwa – uczuciu poety. Znany był ze swych ekscentrycznych zachowań jako bywalec spotkań literackich organizowanych przez poetę i animatora kultury Jerzego Grupińskiego w Zamku, podczas których głośno krytykował czytających swoje utwory poetów (a byli wśród nich – wspomniani E. Balcerzan, S. Barańczak, a także J. Harasymowicz)¹ i buntował skandalicznymi zachowaniami i buntowniczą postawą wobec życia, środowiska literackiego, konwenansów. Jego twórczość i jej powiązania z biografią sprawia, że można – a wręcz należy – ująć ją w kontekście badań nad podmiotowością literacką, których panoramę roztoczyliśmy w poprzednim rozdziale. Babiński stanowi przykład twórcy uwikłanego w konflikty z własnym „ja”, będącym na poły autentycznym, a na poły funkcjonalnym bytem²; jest to też twórca, którego Henryk Berezka najprawdopodobniej określiłby mianem „opętanego pisarstwem” czy też będącego „we władzy słowa pisanego”³. Liczba „śladów”⁴, które Babiński zostawiał w swoich tekstach, świadczy o pewnej nierozdzielności jego życia od twórczości – znajdziemy w nich zarówno odniesienia do poszczególnych wątków biografii poety, w tym do nieszczęśliwej miłości, niektórych wydarzeń, a także planów i marzeń związanych z pisarstwem, jak i odniesienia do konkretnych miejsc, w których był. Rzec można, że poezja Babińskiego to jego jeden, złożony ślad, stanowiący szyfr do zrozumienia i poznania autora.

Na początku przyznać trzeba, że Andrzeja Babiński znany jest przede wszystkim legenda, co z jednej strony wpłynęło korzystnie na późniejsze

losy jego twórczości, a z drugiej stało się jego przekleństwem. Jak bowiem pisze Tomasz Kunz w artykule poświęconym Wojaczkowi, legenda przyczynia się często do uproszczeń i przekształceń w odbiorze twórczości danego autora, często prowadzi do tego, że poszczególnych twórców (jak np. wymienionych wcześniej) umieszcza się w tej samej kategorii, podczas gdy każdy z nich wymagałby jednak osobnego potraktowania i zbadania. Legenda może być też swoistym przekleństwem – jak w przypadku omawianego tu poety – gdy często przysyłania twórczość. Można zatem powiedzieć, że Babiński jest poetą znanym głównie dzięki legendzie, jaką stworzył – w legendzie zaś na równych prawach egzystują prawda i fikcja. Warto wspomnieć o problemach, jakie pojawiają się podczas badań nad twórczością i postawą twórczą Babińskiego – wynikających z tego faktu. Pierwszy z nich związany jest z dostępnością źródeł wiedzy o poecie, a nade wszystko selekcją tych, do których udaje się dotrzeć. Należy zdawać sobie bowiem sprawę, iż niewielu badaczy zajmowało się twórczością Babińskiego, zatem literatura przedmiotu jest w tym przypadku stosunkowo uboga. Choć jest to twórca związany z Poznaniem, nawet wśród poznańskich filologów znajdziemy niewielu, którzy rzeczywiście czytali jego wiersze. Z drugiej strony, jak już wspomniano, był postacią barwną, budującą własną legendę poprzez kreację, bunt, skandale. Toteż często zdarza się, że zainteresowanie Babińskim dotyczy nie jego twórczości, a legendy, postaci czy osobowości – często więc bagatelizuje się jego poezję, skupiając się na tym, co w gruncie rzeczy stanowi jedynie jej uzupełnienie. Ponieważ sam Babiński był poetą w dużej mierze przekłamującym swój życiorys, sprawa wydaje się dodatkowo komplikować. Dlatego też w niniejszej pracy skupiamy się na tych źródłach, które posiadają znamiona autentyczności, nie podejmując próby wnikiwania w wartość i treść pozostałych. Jeśli zatem chodzi o podstawę źródłową, składają się na nią nade wszystko dokumenty literackie – listy, zapiski i notatki, do których udało się dotrzeć,⁵ a także twórczość pochodząca z tomików „Z całej siły”, „Znicze i inne wiersze” oraz „Uwierzenie moje” oraz publikowana na łamach czasopisma „Okolica Poetów”. Zaznaczyć trzeba w tym miejscu, że wielu cennych informacji na temat Babińskiego dostarczają nam tzw. „Andrzejana” – cykl dokumentów literackich oraz towarzyszących im opracowań i omówień pochodzących z Archiwum Literacko-Plastycznego Jerzego Szatkowskiego⁵,

⁵ Jerzy Szatkowski – poeta, prozaik, autor, redaktor „Okolicy Poetów”, autor zbiorów wierszy: *Nie znam żadnego śpiewu* (1968), *Barwonie* (1973), *Bo żywośłowić ciebie jest żywicowanie* (1975), *Tren* (1960), *A może ja już tak wysoko upadłem* (1983), *Ave* (1984), *Tren dla Steda* (1985), *Żywicowanie* (1990), *Triada dla Iwony. Cyklamen prawdosłowny – Arkusze poetycki* (2007) oraz powieści pt. *To tak nieprawdopodobne, że aż prawdziwe* (2010), *Tryptyk* (2011), *Epistoły* (2012). Był przyjacielem Andrzeja Babińskiego, przyjaźnił się też ze Stachurą, Wincentym Różańskim i Ryszardem Milczewskim-Bruno. W jego archiwum znajdują się dokumenty literackie dotyczące życia i twórczości Babińskiego, na których będziemy się opierać w niniejszej rozprawie; część z nich została opublikowana na łamach „Okolicy Poetów”, która stanowi istotną podstawę źródłową dla naszych rozważań.

¹ Zob. Arka. *Almanach Klubu Literackiego Centrum Kultury „Zamek” w Poznaniu – w XXXV-lecie Klubu (1970-2005)*. Cz. 2 *Zamek prozaików – wypisy i pamiątki*, red. J. Grupiński, B. Lempka, Poznań 2005.

² Zob. Winięcka, *op.cit.*, s. 41.

³ Zob. Berezka, *op.cit.*, 447.

⁴ M. Czermińska: *Ślad osoby autora zostaje odcisnięty w każdym utworze, a w dziełach wszystkich wziętych łącznie także istnieje ślad, bogatszy niż te pojedyncze, choć nie będący ich prostą sumą; w: idem, Autor, podmiot, osoba*, s. 211.

publikowanych na przestrzeni ostatnich lat w wyżej wymienionym czasopiśmie. Waga tych materiałów jest nie do przecenienia, zwłaszcza jeśli chodzi o docieranie do prawdy biograficznej na temat Babińskiego. Ważnym źródłem informacji są również dokumenty, które dzięki uprzejmości Jerzego Szatkowskiego zostały na potrzeby tej rozprawy udostępnione z wyżej wspomnianego źródła, i których kopie prezentujemy w Aneksie do niniejszej pracy. Składają się na nie korespondencja Babińskiego z rodziną, wspólne z bratem Stanisławem młodzieńcze publikacje Andrzeja z drugiej połowy lat 50., dokumenty dotyczące samobójczej śmierci poety, w tym postanowienie o umorzeniu śledztwa w tej sprawie, a także zachowane notatki i szkice. Przy rekonstruowaniu buntowniczej, wywołującej skandale, szalonej postaci Babińskiego pomocne okazały się także wspomnienia uczestników spotkań literackich w Centrum Kultury „Zamek”, publikowane w almanachu Klubu Literackiego C.K. „Zamek” pt. „Arka”, zredagowanym przez Jerzego Grupińskiego – prezesa tegoż Klubu.

Warto na marginesie dodać, że dodatkowym problemem dla badacza – prócz problemu dostępności i selekcji źródeł – jest też oddzielenie mitu od prawdy, a także nieulegnięcie pokusie porównywania ze sobą – a co za tym idzie mieszania i wrzucania do jednego worka o nazwie „poeci wyklęci” – Babińskiego i Wojaczka (których – co trzeba zauważyć – wiele łączyło, lecz także wiele dzieliło), czy łączenie Babińskiego jako poety buntu z poetami wyrażającymi bunt wobec systemu komunistycznego. Poezja poznaniaka jest bowiem przypadkiem swoistym, wymagającym osobnej uwagi, a jego buntownicza postawa wobec świata nie ma politycznego podłoża (trzeba zauważyć, że niekiedy łączono go wszak z Orientacją Poetycką „Hybrydy”⁶) – jak wykażemy w kolejnych rozdziałach tej rozprawy, jego zainteresowania poetyckie skupiały się prawie wyłącznie na jego własnej osobie, co w dużej mierze wynikało z faktu, że stawiał samego siebie w centrum świata. Nawet jeśli w brulionach pisał: „Ten ustrój, ludzie i ład ziemski jest jakiś nieporęczny dla pisarzy”⁷, to bardziej miał na myśli swój los poety, aniżeli poszanowanie ludzkiej godności czy wartości takich jak prawda i honor, które to ustrój ten lekceważył. Babiński jest przypadkiem na tyle osobnym i swoistym, że trudno o zakwalifikowanie go do pewnej konkretnej grupy poetyckiej⁸.

⁶ Zob. D.T.Lebioda, *Jasna fantasmagoria*, „Okolica Poetów” 61-62/2013, s. 43-44. Lebioda pisze tu m.in.: *Jako dalszy ciąg – także nieopisaną źródłowo – Orientacji Poetyckiej „Hybrydy”, jako jej immanentna część, dorobek grupy przyjaciół, do którego wypada też dołączyć wiersze Andrzeja Babińskiego, ma ogromną moc literacką, jest częścią wolnej, nie zafalszowanej literatury, która powstawała w ramach konkretnej epoki, buntowała się i znajdowała drogę do wolności* [s. 43].

⁷ Zob. Aneks: 1. Urywki z brulionów.

⁸ Ten sam problem dotyczyć może również inny twórców, często kojarzonych z Babińskim – z Ryszardem Milczewskim-Bruno, Wincentym Różańskim czy – bardzo ważną postacią, która przyczyniła się w znaczący sposób do napisania tej pracy – Jerzego Szatkowskiego. Co ciekawe – przez niektórych zaliczany był do „poetyckiej grupy Edwarda Stachury, tzn. katastrofistów”, przy czym chodziło tu zapewne o „skłonności samobójcze” oraz to, że

Jest też bez wątpienia jednym z tych poetów, dla których twórczość pisarska stanowi warunek konstytuowania własnego „ja” i których życie uzależnione było właśnie od poezji. Cecha ta uwidoczniła się m.in. podczas jego ekscentrycznych, niekiedy bulwersujących zachowań, mających miejsce podczas spotkań literackich, na których bywał. W zachowaniach tych zauważyć można pewne rysy teatralizacji, jak gdyby były to wyreżyserowane i zaplanowane wystąpienia. Jak w poezji, tak i w życiu samego siebie prezentował jako buntownika, poetę, którego można by określić mianem „osobnego” czy „totalnego” – traktującego poezję do tego stopnia na poważnie, że niepozwalającego sobie na „kompromisy”, jeśli chodzi o twórczość: „Każdy wers ma być genialny” – pisał przecież w liście do Edwarda Stachury⁹. Stąd być może dojmująca potrzeba krytyki poetów, którzy – w przekonaniu Babińskiego – decydowali się na półśrodki. Z zachowanych wspomnień wynika, że był postacią nad wyraz ekspresyjną, nieprzewidywalną w swych zachowaniach i – prawdopodobnie wskutek tych ekscentrycznych zachowań – samotną: odrzuconą zarówno przez najbliższych, jak i przez środowisko literackie. Na pierwszym miejscu stawiał jednak najczęściej samego siebie, co stanowi istotny – także dla interpretacji poszczególnych utworów – rys jego osobowości.

Tekst powyższy jest kontynuacją pracy Bogny Wiczyńskiej „W poszukiwaniu autentyczności bycia. Podmiot w poetyckiej twórczości Andrzeja Babińskiego” zamieszczonej w poprzednich numerach „Protokołu Kulturalnego”

Jest to praca magisterska napisana pod kierunkiem prof. dra hab. Michała Januszkiewicza. Poznań 2017. UAM, Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej.



„nosił się z zamiarem śmierci” [zob. Aneks: 2. Postanowienie o umorzeniu śledztwa].

⁹ Brulion listu Andrzeja Babińskiego do Edwarda Stachury, „Okolica Poetów” nr 12/2001, s. 48; Babiński w cytowanym liście pisze również (*a propos* utworu Stachury *Tango triste*: Ja się nie dziwię, bo piórem trzech geniuszy należałoby wywalczyć to tworzywo, ale zbyt pośpiesznie rzuciłeś do druku ten tekst; to swoją drogą. Im większa perła, tym więcej czasu wymaga odleżenia, dojrzewania.

Aleksander Talarkiewicz

Malarsko – liryczny tomik Krystyny Wojciech – Ratajczak

Krystyna Wojciech-Ratajczak wydała pod koniec 2018 roku swój trzeci tomik, tym razem malarsko – liryczny pt. „Opowieści Zimowego Ogrodu”. Jest on kontynuacją wystawy, która miała miejsce w oszklonym ogrodzie Wielkopolskiego Centrum Onkologicznego w Poznaniu. Wówczas do prezentowanych cyklicznie obrazów dołączyła swoje wiersze, co okazało się pewnym novum. Były one w mniejszym lub w większym stopniu związane z tematyką płócien. Pomysł sprawdził się. Pacjenci pisali „*Krysiu, Twoje obrazy rozświetlają to smutne miejsce i są oderwaniem od rzeczywistości.*” „*Dobrym pomysłem jest dołączenie wierszy*” „*Bardzo piękna inicjatywa*”.

Artystka w swoim działaniu twórczym zrobiła krok dalej. Wydała wspomniany tomik w którym zarejestrowała eksponaty tej wystawy wraz z tekstami i zaprosiła do twórczego współdziałania Stanisława Romaniuka, który dołączył swoje liryczne utwory będące poetyckim komentarzem do jej obrazów. Myślę, że pomysł trafny. Przedstawiono 14 fotosów prezentowanych płócien z lekkim zasygnalizowaniem miejsca ich prezentacji, które wykonał Filip Ratajczak i Stanisław Romaniuk. Tematem malarstwa jest martwa natura, pejzaże, portrety, a na sąsiednich stronach wiersze, komentarze autorstwa poetyckiego tandemu.

Tomik otwiera kopia obrazu Stanisława Wyspiańskiego „Dziewczynka gasząca świecę” w tonacji niebiesko – fioletowej, którego warstwa symboliczna mówi o przemijalności. Tę myśl podkreśla wiersz Stanisława Romaniuka „Urok ogrodu”. Poeta wprowadza nas w niełatwo uchwytany moment przejścia zmierzchu w noc. Wiersz jest bardzo nastrojowy, malarski – operuje kolorem, światłem. Mówi o przeznaczeniu, które nie zawsze sobie uświadamiamy. Prowadzoną myśl uwypukla operując ciekawymi epitetami - *...w draperiach milczenia... pastele zachodu*, metaforami - *myśl siadła na brzegu koloru... zmierzch zaplątany w sitowie szeptął czy porównaniem - trzepotał jak motyl*. Autor tego pięknego wiersza pojawia się ponownie pod koniec tomiku. Zainspirował go obraz „Radość na brzegu morza” nawiązujący do kierunku zwanego postimpresjonizmem (pointyлизm). Stosując ową technikę, Krystyna Wojciech-Ratajczak ukazuje na tle niebiesko – beżowym dziewczynkę w różowej sukience i słomkowym kapeluszu bawiącą się radośnie z psem. Zakonotowała szybko ten moment, stosując wspomnianą technikę punktową, dzięki której mogła nakładać bezpośrednio na płótno farbę, wydobyć postać, utrwalić kolor światła i ruch. Poeta patrząc na ten zarejestrowany świat, odniósł wrażenie fantasmagorii. W wierszu „Miraż” pisze - *Obraz falował i zniknął... Dziewczynkę / Unoślił... / utkany obłoczek, obraz - Rozmywał się / Odpływał*. Natomiast w „Kolorowej muzyce”, płótnie powstałym w tym samym kręgu stylistycznym, ukazana została koncertująca skrzypaczka na tle

bujnej przyrody. Ale nie ona jest najważniejsza, lecz rozchodzące się dźwięki pełne swoistego rytmu, które wydobyła poprzez szybkie konotowanie rozchwypanych traw, kwiatów, poprzez stronę cieplejszą i zimniejszą ku której zmierza, by ją ocieplić dźwiękami. W ujęciu autora w „Etiudzie” muzyka jej jest - *ze strun utkanych z marzeń wieczoru*. Tomik autorka zamyka martwą naturą zatytułowaną „Cylinder”. Znakomicie uchwycony został jego kształt, kolor, rozkładające się światło, materialność. Ten element męskiej garderoby może mieć znaczenie przenośne – symbolizować magię świata, którą ukazuje artystka na płótnach i w liryce. W ten sposób mniej lub bardziej świadomy została stworzona klamra, wewnątrz której zaistniała artystka wraz ze swoimi obrazami i wierszami.

Tematem jej płócien są kobiety, dzieci, pejzaże, martwa natura, tkwiące swoim rodowodem w realizmie, symbolizmie, postimpresjonizmie. Są to dość swobodne kopie wielkich mistrzów, lub własne plastyczne koncepcje. Szczególnie interesuje autorkę złożoność kobiecej osobowości, czego przykładem jest piękny „Portret rudowłosej” wg obrazu Gustawa Jacqueta pełen subtelnej myślowości, prowokacji, twarży, na której cień swój kładzie smutek i zaduma. Komentarzem jest wiersz „Spiccato życia”, którego dominantą jest pytanie - *Jak to jest / Być żoną, matką, kochanką*. Dotyka problemu delikatnie jak skrzypek strun (spiccato). Nakreśla drogę kobiecego życia, by powiedzieć - *Przenoszę słowa, uczucia / Na bliskich / A serce jak linoskoczek / Dotyka małość*.

Inny portret, dziennikarki Sylwii von Harden wg obrazu Otto Dix'a ukazuje kobietę o rysach twarzy i uczesaniu typowo męskim, z monoklem, by podkreślić jej feministyczną postawę pełną bezkompromisowości, ba, drapieżności, co sugeruje poprzez układ rąk, dłoni, palców, między którymi tkwi papieros, a także sposób siedzenia przy stoliku, na którym znajdują się bliskie jej akcesoria. Tym razem wiersz XXX w bardzo zawaolowany sposób przystaje do prezentowanego obrazu. A szkoda ... Natomiast bardzo wyraźnie związana z dziełem Picassowskim „Dziecko z gołębiem” jest „Elegia dziecięca”. Podmiot liryczny stawia bliżej nieznanemu sprawcy pytanie - *Dlaczego krzywdzisz dzieci?* Utwór tchnie smutkiem, a jednocześnie buntem przeciwko niszczeniu świata dziecięcego, który z taką wrażliwością ukazany został na zaprezentowanym płótnie głoszącym miłość i pokój. Tę myśl wyraża poprzez symbol – gołąb tulony czule w dłoniach dziecka, które pochyla ku niemu rudą główkę, a także przez urozmaiconą kolorystykę zamykającą przestrzeń pomieszczenia. Podobny stosunek autorki do dziecka dostrzec można w obrazach „Portret małego chłopca” i „Vita brevis, ars longa” wg Tadeusza Makowskiego.

Krystyna Wojciech-Ratajczak zachwycona twórczością Józefa Chełmońskiego w wierszu „Dla Chełmońskiego” – jego tematyką, kolorystyką, światłem i płynącą z obrazów muzyką, maluje pejzaże. Przykładem są „Czarny staw pod Rysami” czy „Poranek ze snopkiem siana”. Widoki znane prawie nam wszystkim, a jednak inne. W wierszu XXX „Góry jak obłoki” mówi o zmienności ich w poszczególnych porach roku, co uwypukla światłem, kolorystyką i wykreowaną nastrojowością, by pod koniec nawiązać do historii ludzkiego losu i jego przemijania - *Dziwnych zdarzeń / Z kawałkiem błękitu / Do którego wspina się niestrużenie*.

Liliana Bening

Chwila

Pewnego razu
gdy dzień stawał się...
powoli otwarłam oczy
i w zdumieniu zrozumiałam to wszystko
co było dla mnie

* * *

A kiedy już płakać przestanę,
kiedy się wszystko wypali,
to kim wtedy będę?
Kiedy ogrom cierpienia
zapragnie wytchnienia?
Czy będzie mi już wszystko jedno?

Krystian M. Manteuffel

Kamie, mojej żonie

* * *

...w moim jesiennym ogrodzie letnie są tylko
wspomnienia;
róże już dawno przekwitły i nawet wiersze się
stały jesienne.

Wiersze moje, tak wiernie pamiętam waszych
uniesień barwę,
a w szeleście wiatru ciągle rozpoznaję tamte,
serca młodego
wibrujące żądze, zwierzenia młodej, potarga
nej duszy.

Chmury jesienne na blejtramie nieba tworzą
obrazy odeszłe,
brzemienne w obawy i troski, a ty przy mnie
tak realna jesteś,
jak krople rosy spływające bruzdami po mojej
twarzy.

W moim jesiennym ogrodzie nie kwitną już
kwiaty i tylko
w wierszu potrafię odtworzyć nasze lato; dłoń
twoją czuję
w mojej dłoni nim zasnę przysypany przez
opadłe liście...

Mateusz Rossa

presilenie

wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały
równonoc
liście prędko opuszczały koronę drzewa
opadały zakrywając zieloną trawę
ale ona odrodzi się
liście poddały się do następnej bitwy

wraz z najkrótszym dniem przyszła rozpacz
biały puch miał odebrać kolory i nadać
nowych znaczeń

tym razem się nie pojawił
lodowce północne i południowe płaczą
głupcy się cieszą

ze snu budzą się wielkie stworzenia
migracje trwają
zieleń wygląda szarzej niż zwykle
czarne chmury okrywają każde niebo
nawet jeśli widzimy tylko słońce

nie ma odwrotu
cyklicznie kolejna bitwa się zaczyna
a przecież najtrudniej umiera się w dzień

Danuta Bartosz

Dniepr, Warta, East River & Hudson?

Skąd przychodzę? Dokąd zmierzam?
W której ziemi są moje korzenie?
Szukam siebie w trzech ojczyznach,
w falach trzech rzek. Jedna mnie zrodziła
(*lecz dziecko spadło z kładki w rwące fale*
Wojny). Druga wychowała, trzecia nauczyła
żyć.

Wczoraj ostrze gałązki zboczzonej krwią
pożogi
pisało moje życie. Dzisiaj wiatr czasu
zamazuje
granice ojczyzn i twarze dwóch matek – tej
która
zrodziła i poszła do nieba, i tej świętej
robotnicy
tnącej papier na przekrawaczu, która
wychowała
i wpisała mnie w swoje życie.
Rzeko, rzeko – któraś to, tak naprawdę
jesteś moją?

Sny na jawie III

Korowaj był to słodki placek wypiekany z pszennej mąki z zapiekаныmi na nim ni to figurkami, ni to bardzo tajemniczymi rzeźbieniami. Panna młoda często wychodziła z komory z wypiekami na twarzy. Niosła wraz z panem młodym trochę zdewastowany korowaj, który łamano i częstowano nim gości, śpiewając przy tym tak zwanego „chmiela”:

Żebyś ty chmielu na tyczki nie wlaź, / To byś ty z panien nie robił niewiaśc.

Babka prawie zawsze przynosiła nam dzieciakom kawałki korowaja do domu i dawała niektóre z figurek, które uprzednio w wielkiej tajemnicy kobiety zamężne układały i piekły w domowym piecu do wypieku chleba jednej z nich, aby panna młoda nie zobaczyła ich przed ślubem. Ja zawsze dostawałem jakiś tam wałeczek ciasta z małymi kuleczkami, a siostry po kawałku ułamane dwa cieńsze wałeczki. Babka zawsze częstując nas tymi wałeczkami mówiła:

Oj rosny, rosny jak dub, jak sosny.

Pytana przeze mnie po raz nie wiem który, kiedy już byłem po stawce wojskowej, w przypiływie dobrego humoru pokazała na palcach rąk o co chodziło. Otóż było to, ni mniej ni więcej, tylko wtajemniczenie świeżo upieczonych małżonków, w arkana małżeńskiej alkozy. Taka wiejska „Kamasutra”. Instytucje strzegące dziewiczej czystości uznawały wcześniejsze mówienie o tym za tabu. Niektóre dzieciaki, z tego co wiem, z konieczności śpiące z rodzicami z powodu ciasnych mieszkań i braku większej ilości łóżek, często bawiły się w mamę i tatę, albo w doktora i pacjentkę. W dobie telewizji, kina, gazet i internetu zaprzestano wypiekać korowaj, a później także i inne obrzędy zaczęły zniknąć z weselnych przyjęć.

Inną tajemniczą sprawą domowego ogniska było robienie, od czasu do czasu, przez mamusię wyrzutów tatusiowi, że nie może się zabrać za postawienie krzyża na rozstajnych drogach biegnących nieopodal naszego domu. Przypominała wówczas, że przecież razem złożyli obietnicę, iż taki krzyż stanie w miejscu gdzie przecinały się Ścianka i Zagumienie, dwie drogi łączące wieś ze światem. (*Ścianka dlatego, że oddzielała pola bukowskie od nosowskich. Natomiast Zagumienie dlatego, że biegła za zabudowaniami gospodarczymi, z których stodoła posiadała tak zwane gumno, czyli gliniane klepisko na którym cepami młóciło się zboża. Z czasem nazwa gumno przylgnęła do samej stodoły a nawet i całego obejścia*). Tatuś wówczas odpowiadał, że nastąpi to wkrótce, ale nie wie kiedy, gdyż przeznaczony do wycięcia dęb musi jeszcze podrosnąć. Aż pewnego roku, tuż przed Świętami Wielkanocnymi polecił mi, abym ubrał się i pojechaliśmy razem ściąć ten upatrzone przez niego dąb. Przyszli sąsiedzi, dwaj cieśle i na trzy dni przed Niedzielą Palmową krzyż stał na straży u rozstajnych dróg. Władze państwowe na szczęście udawały, że tego nie widzą. Krzyż został poświęcony w Wielką Sobotę przed święceniem pokarmu. Dopiero w jakiś czas po poświęceniu go, mamusia nagabywana

przeze mnie, zwierzyła mi się, że ślubowali z tatusiem pod koniec wojny, iż na rozstajach dróg postawią krzyż w podziękowaniu za kilkakrotne ocalenie ich życia, a może także i życia dzieci. Od tamtej pory do dnia śmierci rodziców, ksiądz przyjeżdżający z Leśnej, aby poświęcić wielkanocny pokarm, najpierw udawał się pod ów krzyż i dla tej części wsi zwanej „Koryk” na polowym ołtarzyku dokonywał święcenia, a następnie jechał do kaplicy i poświęcił pokarm dla pozostałej części wsi. Przy tym krzyżu ludzie zbierają się jeszcze teraz na majowe i czerwcowe nabożeństwa.

W Wielki Piątek wszystkie dzieciaki przygotowywały długie różgi ze specjalnego gatunku wierzby, której kora na młodych pędach miała kolor głębokiego fioletu, od którego pięknie odbijały się białe baze. Biegaliśmy na bosaka po wyrobisku starej zwirowni, tarzając się w delikatnych źdźbłach młodej trawy, a doganiając uciekającego uderzaliśmy go tymi witkami wołając:

Palma bije, nie zabije, / Kości nie połamie, / Pamiętajcie chrześcijanie, / Że Pan Jezus zmartwychwstał.

Za każdym razem role się zmieniały i w kilku, a czasami i kilkunastoosobowej grupie nie było nikogo, kto nie poczułby różgi na plecach bądź pośladkach. Uderzenia były jednak zadawane z taką siłą aby nie wyrządziły nikomu krzywdy. Kto się wyłamał z tego nieopisanego prawa, otrzymywał razy od wszystkich pozostałych i już nigdy więcej nie odgrywał się za jakiegokolwiek realne bądź wymyślone krzywdy. Najczęściej chodziło o drobne pomówienia, zniewagi czy wyrównywanie doznanych krzywd we wcześniej stoczonych pojedynkach. W takich przypadkach zbiorowej solidarności też nie wolno było nadmiernie przekroczyć norm przyzwyczajenia. Tymczasem przygotowania do Święt Wielkanocnych nabierały rozpędu. Chłopaki przed niedzielą palmową szli na łąki w poszukiwaniu rozwiniętych bazi, albo tam - gdzie, jak u nas, rosła za stodołą fioletowa wierzba, z której ucinaliśmy witki na potrzeby naszych gonitw - wstawiali na drzewa i ścinali garść drobniejszych gałązek na tak zwane „palmy”, które mamy ozdabiały, asparagusem, doniczkowymi kwiatami i niosły do kościoła w Niedzielę Palmową aby zostały poświęcone. Po powrocie do domu palmy były utykane za obrazem i czekały aż nadejdzie czas siania jarego zboża kiedy to były wkładane do ziemi na obsiewanym zagonie, wraz z kłosem albo tylko ziarnami zboża zbieranego w poprzednim roku i poświęconego podczas Święta Matki Boskiej Zielnej.

Stanisław Romaniuk jest autorem książki dla dzieci „Z czego składa się rok”, (Wydawnictwo Poznańskie 1990). Nakładem Fundacji Literackiej w Poznaniu ukazały się dwa jego tomiki poetyckie – „Uroczysko” i „Królowa Marengo”. W roku 2016 wydaje zbiorek „Jest tylko Bóg” i album „W jesień wpisane”, w którym publikuje wiersze związane z twórczością przyjaciół artystów plastyków środowiska poznańskiego – Marii Kani i Andrzeja Sibilskiego realizujących się, między innymi, w przekazywaniu w formie obrazów mistycznych doznań i wizji.

Niecodziennie o codzienności

Biorę do ręki książkę Emila Hakla. Tytuł „O rodzicach i dzieciach” umieszczony na portalu okna, za którego szybą widać zamyśloną, podpartą dłonią twarz, nie zachęca, sugeruje jakiś poradnik. Odwracam. Okno pogrąża się w ciemności; czytam blurb i łapię się na haczyk zdania: „Hakl to nowe wcielenie haszkowsko-hrabalowskiej tradycji w literaturze czeskiej...” Nawet nie próbuję się z niego urwać, mam to, co najbardziej lubię i cenię w czeskiej literaturze.

Zaczynam więc spacer z dwójką bohaterów po praskich zaułkach i zakamarkach, omijając to, co podziwiają zwykłe turyści, odwiedzający autentyczną, bo – mimo historycznych nawałnic – zachowaną w oryginale „zlatu Prahu” – dumę Czechów i równocześnie owoc ich zbiorowej mentalności, jakże odległej od naszej. To na jej obrzeżach, towarzysząc w przeciągającym się do późnych godzin nocnych i przerywanym zaglądaniem do piwiarni i restauracyjek głównie praskiej Stromovki, na niemal rytualnym comiesięcznym spacerze przeszło siedemdziesięcioletniego ojca z ponad czterdziestoletnim synem poznajemy codzienne życie – i nie tylko – prazan.

A wszystko poprzez pozbawioną opisów narrację. Całość powieści wypełnia rozmowa emerytowanego naukowca z dorosłym synem w praskim slangu, okraszonym porzekadłem ojca: „co nie”, trwająca kilka godzin i obejmująca czas, do którego sięga pamięć ojca po aktualne wydarzenia i sprawy przywoływane lub komentowane przez rozmówców – jak katastrofa „Kurska” czy wybór prezydenta Trumpa. Przeskoki myślowe, powroty do porzuconego tematu, zmienność i różnorodność tematów – od kobiet oraz wspomnień z dzieciństwa i bałkańskiej wojny poprzez ulubione samoloty do zdarzeń bieżących i alkoholi – nadają jej naturalny tok.

Ale nie jest to paplanina bez znaczenia. To istotny – choć często utrzymany w żartobliwym tonie – komentarz do wspominanych lub obserwowanych zdarzeń, nierzadko wspólnych czytelnikom i bohaterom. Jego trafność i skrótość bywa godna podziwu. Oto przykład: „No a historia Bałkanów jest ponura i patetyczna jak niemiecka opera.” Jak Hakl sam kiedyś wyjaśnił – pisze, bo próbuje znaleźć „funkcjonalny komentarz” do tego, co dzieje się wokół nas.

Filozoficzne rozważania o świecie, losie, ludzkiej egzystencji przybierają czasem postać sentencji, czasem zabawnych komentarzy. Bywają też jednym i drugim równocześnie.

- Co nowego? - zapytałem.

- Na świecie już od dwóch miliardów lat nie ma nic nowego, wszystko to tylko wariacja na jeden temat: węgiel, wodór, tlen i azot - odpowiedział ojciec.

Z rozmowy wylaniają się sylwetki obu bohaterów, ich sposób myślenia, postawy, osobowości, stosunek do świata, omawianych zdarzeń i do siebie wzajem, szczególnie kiedy do głosu dochodzą traumy z przeszłości, zadawnione żale, wyrzuty

sumienia... Hakl zastosował ciekawy zabieg. Narrację prowadzi syn, ale robi to na dwóch poziomach – głośnym, ujawniając swe myśli na zewnątrz oraz utajonym, kiedy to wewnętrzny głos krzyczy w nim albo modli się lub wyje w myślach, ale nie zamienia tego na żaden zewnętrzny dźwięk, bo przeznaczone jest to tylko dla czytelnika nie dla partnerów dialogu. To emocje utajone, niedopuszczane do głosu. Powody Hakl pozostawia domysłom czytelników. Nieustający dialog ojca z synem niepostrzeżenie rysuje obraz dwóch pokoleń i wzajemnych relacji między nimi. Nie są w pełni otwarte, a siedzący w głowie syna Czort strofuje go za brak czułości. Ojciec nie wie i się nie dowie, że to on sam wyznaczył ten dystans, gdy przed laty na pocałunek syna zareagował uwagą, że „chłopy się nie całują”.

Książka wyrasta z uwielbianej przeze mnie – i, mam nadzieję, wielu czytelników czeskiej prozy – praskiej atmosfery opowieści i anegdot przy kuflu piwa, kieliszku jałowcówki lub napoju bohemii – absyntu. Żywy dialog, specyficznie subtelny humor, aktualność pogłębiona retrospekcją sprawiają, że pomimo szczątkowej akcji, książka odsłania prawdę o człowieku i pozwala poczuć radość czytania oraz żal spowodowany widokiem ostatniej strony.

To książka na dzisiejszy trudny czas. Poprawia humor.

Na koniec kilka zdań o autorze. Jan Beneš, prazanin, rocznik 1958, pisarz, poeta i prozaik czeski, piszący pod pseudonimem Emil Hakl. Nim zaczął pisać, odbył bardzo pożyteczną dla pisarza drogę – miał się kilku profesji, w tym magazyniera, mechanika, bibliotekarza, copywritera agencji reklamowych, wreszcie redaktora w czasopiśmie. Polacy poznali go w 2002 roku, dzięki tłumaczeniu Jana Stachowskiego „O rodzicach i dzieciach”, książki, która przyniosła Haklowi rozgłos. Jest laureatem obu prestiżowych czeskich nagród literackich – Magnesia Litera i Nagroda Josefa Škvořeckiego. Utrzymuje kontakty z Polską.

Emil Hakl, „O rodzicach i dzieciach”, Pogranicze, Sejny 2007, przeł. Jan Stachowski.

Robert Paweł Kamin

Niech trupa twojego...

Dama bezsenności wlecze mnie w doliny.
Gdzie ciemność zapada bezdenna i głucha.
Gdzie z bagien wyrasta siedlisko wikliny
I drzemie przedśmiertna, trwożliwa posucha.

Sen niedościgniony gdzieś uleciał w dale
I burza nadchodzi w noc ciemną,
bezgwiezdną.
Nadziei nie zoczę, nie szukam jej wcale.
Turbuję się ciągle, gdy raje me bledną.

Mrok wszędzie dokoła i wilki w jaskini.
A księżyc złowrogo spoziera martwicą.
Sen mojej młodości – majowa bogini.
Zstępuje w otchłanie ze swą tajemnicą.

Andrzej Haegenbarth (Hegena) - foto-grafik; autor książek, artykułów i szkiców monograficznych o sztuce współczesnej; pomysłodawca i kurator wystaw. Wypowiada się za pomocą słowa i obrazu. Absolwent UAM.

Pracował jako redaktor w takich cenionych pismach jak: dwumiesięcznik "Sztuka" (1974-1981), tygodnik "Wprost" (1982-1986) i miesięcznik "Nurt" (1986-1990) oraz w Muzeum Narodowym w Poznaniu.

Ma w dorobku książki: *Sztuki plastyczne w Poznaniu 1945-1980* (1987, współautor), *Eros i współnicy* (1989), *Wielka miłość i dewiacje* (1990, wznowiona w 1991), *Eros i znawcy* (1994) i *Być artystą!* (1994) oraz wiele wstępów do albumów, katalogów, a także szkiców i wywiadów z artystami.

Ostatnie dokonania: wstępy do albumu „Zofia Bilińska” oraz katalogów „Dawny i współczesny pejzaż Poznania”, „Na skrzydłach katedr” Romana Kosmali, „Akt jako forma sztuki” (również kurator wystawy w ramach IV Wielkopolskiego Festiwalu Fotografii im. Ireneusza Zjeżdźka), cykl prac fotograficznych „Portrety i rozety”; dwanaście grafik do kalendarza planszowego klubu Na Zapiecku 2019; oraz wizerunki artystów - 2018.

Wystawia regularnie od 2010 roku. Miał siedem wystaw indywidualnych i wziął udział w kilkudziesięciu prezentacjach zbiorowych.

Foto-grafiki Hegena

Pomysłowe i fascynujące! Nie mają na celu rejestracji świata zewnętrznego, ale wywoływanie sugestii i skojarzeń. Od portretów poprzez personifikację miłości, przemijanie ulotnych wrażeń, odbić i osób po filozoficzne odniesienia związane z nieosiągalnym niebem artystów. Takie są foto-grafiki Andrzeja Haegenbartha (Hegena), znanego dotychczas jako człowieka słowa, piszącego o sztuce współczesnej oraz pomysłodawcę i kuratora takich ambitnych wystaw zbiorowych jak „Drzewo – oś świata” czy „Akt jako forma sztuki”. Najnowsza prezentacja pokazuje go jako artystę wizualnego, który przekracza ramy tekstów i wypowiada się za pomocą obrazu. To również swoiste przebudzenie do tworzenia, do bycia artystą w pełnym tego słowa znaczeniu.

Na wystawie znajdują się prace głównie pochodzące z trzech cykli: *Agathea z ramą*, „Niebieskie”, „Portrety i rozety”. Na pierwszy rzut oka widać, że to nie tylko podobizny malarki (z ramą) czy innych intrygujących postaci, głównie kobiet, ale kompozycje ewokujące kwestie związane z obrazem w obrazie, czy jak w przypadku czerwonych obramień w „Niebieskich” - należących do iluzorycznej przestrzeni grafik - oddziałujące na miejsce i znaczenie ukazanych wizerunków, a szczególnie – jak by powiedział Meyer Schapiro - na ich sens ekspresyjny.

Interesującym cyklem jest również trzeci z wymienionych, zainspirowany kwadratowymi akrylami (90 x 90 cm) Joanny Bobrzyk, zwanych przez nią rozetami. Widać w nich inwencję Hegena, którego przedstawienia i ich przekaz na ogół zmierzają w innym kierunku niż znaczenia prac, będących dla niego punktem wyjścia. Konkretyzacja i uszczegółowienie komunikowanych sensów foto-grafik artysty zależy od wyobraźni, wiedzy i doświadczenia życiowego odbiorcy.

Alicja M. Kubiak

Laboratorium

W jasnym pomieszczeniu, na małym krześle siedzi pluszowy miś. Dawno nie dano mu pić, więc trawi go wielkie pragnienie. Jeden z mężczyzn, ubrany w biały kitel, podaje pluszakowi puszkę z piwem. Miś pije łapczywie, ale musi odstawić napój, by czytać z kartki wiersze. Poemat jest długi, więc pluszak często sięga po piwo. Oczka błyszczą, język się płacze, ale dzielnie odczytuje słowo za słowem.

Za małe to krzesło, za ciepłe piwo, za drobny druk na kartce. W uszach szum, zamazany obraz, ciężko się czyta słowa. Na widowni siedzą lekarze, na kolanach mają notesy, w zębach ołówki i rękawy na plecach związane.

W numerze wykorzystano fotografie Andrzeja Haegenbartha: s.1 – Drzewo lewitujące, 3 - Agathea z ramą, 8 – Wróżka, 15 – Czarodziejka, 20 – Przekręcone niebo. Dwa Michały, z marmurzały i zbrązowiały.

